KAROL KAUTSKY

Przeciwieństwa interesów klasowych w 1789 r.

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

22157 KPiP
1122157
1122157

Przeciwieństwa interesów klasowych w 1789 r.

KAROL KAUTSKY

Przeciwieństwa interesów klasowych w 1789 r.

»KSIĄŻKA i WIEDZA«
1958

Wznowienie wydania,
które ukazało się
w 1911 r. w Krakowie
nakładem wydawnictwa
„Życie“

22157

I

WSTĘP

Dnia 17 czerwca 1889 r. minęło 100 lat od czasu, gdy pod naciskiem wrzenia rewolucyjnego w całym kraju deputowani stanu trzeciego Stanów Generalnych Francji ogłosili się Zebraniem Narodowym i przez to dali początek temu potężnemu przewrotowi społecznemu, który nazywamy Wielką Rewolucją.

Jakkolwiek nadzieje, jakie łączono z owym wydarzeniem, były ogromne, rzeczywisty przebieg wypadków znacznie je wyprzedził. Gmach państwa feudalnego, który wydawał się jeszcze tak mocny, runął niby domek z kart pod naporem mas ludowych; w ciągu kilku miesięcy zostały skruszone okowy skuwające Francję, która ledwo już dyszała pod ich ciężarem; młody kolos nowego sposobu wytwórczości wydostał się na szerokie przestwory i zdobył sobie warunki do swobodnego rozwoju. Entuzjazm oswobodzonego ludu obalał wszystkie przeszkody; Francja, będąca za dawnych rządów pośmiewiskiem całej Europy, odparła teraz zwycięsko napór zjednoczonych państw europejskich, które zawarły przymierze z kontrrewolucją w samej rzeczypospolitej. Wkrótce sztandar rewolucji powiewał zwycięsko nad całym kontynentem.

Z drugiej strony jednak pewne oczekiwania niektórych działaczy rewolucji okazały się marnym złudzeniem. Pomimo zniesienia przywilejów stanowych

królestwo równości i braterstwa nie przyszło. Narastały nowe przeciwieństwa klasowe, ukrywające w swym łonie nową walkę społeczną, nowe przewroty. Nędza się nie zmniejszyła, wyrósł proletariat, a zarazem powstał wyzysk klasy robotniczej. Państwo i społeczeństwo, wytworzone przez rewolucję, nie odpowiadały ani ideałom Monteskiusza, ani ideałom Rousseau. Życie okazało się mocniejsze od idei.

Rozumie się samo przez się, że w takim wielkim wydarzeniu historycznym, jakim jest rewolucja, każde stronnictwo — bez względu na to, czy usiłuje otoczyć chwałą i sławą to wydarzenie, czy też na odwrót, stara się je poniżyć, zniesławić i potępić — znajdzie zawsze momenty i strony, których wysunięcie na pierwszy plan będzie odpowiadać jego celom.

Jeszcze łatwiejsze jest wykorzystywanie rewolucji dla celów stronniczych, gdy się ją ocenia ze stanowiska „moralności". Przy takim przewrocie, jak rewolucja, namiętności ludzi biorących w niej udział niezwykle się rozpalają, w każdym z działających wtedy stronnictw napotykamy przykłady najwznioślejszych cnót, niezrównanego bohaterstwa i poświęcenia, a jednocześnie przykłady nikczemności, skrajnego okrucieństwa, braku charakteru i samolubstwa. I jakaż to jest tania satysfakcja — podnosząc z dumą rysy sympatyczne jednego stronnictwa, wyrzucać swoim przeciwnikom odrażające postępki drugiego.

Jakkolwiek dziwnym się wydaje takie postępowanie historiografii, to jednak tylko nieliczne z obrazów rewolucji francuskiej można uznać za obiektywne. I jest to rzecz zupełnie naturalna. Przeciwieństwa interesów, które się ścierały w tej rewolucji, jeszcze dotąd nie zniknęły całkowicie; poza tym rewolucja wytworzyła nowe przeciwieństwa, które początkowo słabo się w niej uwidaczniały, ale później wystąpiły

znacznie ostrzej i stały się bardziej określone. Wśród stronnictw współczesnych nie ma ani jednego, które by na mocy tradycji albo sympatii, czy też podobieństwa położenia albo celów, nie odczuwało swego powinowactwa z którymś z prądów społecznych rewolucji francuskiej i z tego względu nie było szczególnie przychylnie usposobione do niego, a jednocześnie szczególnie surowe dla jego przeciwników.

A tymczasem w ł a ś n i e rewolucja francuska dała asumpt do takiego pojmowania dziejów, które umożliwia obiektywne studiowanie zarówno jej samej, jak wszelkiego innego zjawiska historycznego; pojmowanie to poszukuje siły poruszającej rozwoju historycznego ostatecznie nie w życzeniach ludzi, lecz w stosunkach społecznych, niezależnych — przynajmniej przy systemie gospodarki towarowej — od tych ludzi, w stosunkach stojących ponad nimi, a nawet panujących nad nimi.

Chociaż historycy rewolucji francuskiej usiłowali przedstawić ją jako dzieło z jednej strony filozofów — Wolterów, Rousseau i in., a z drugiej mówców Zgromadzeń Narodowych — Mirabeau i Robespierre'ów, nie mogli oni jednak pominąć milczeniem tego faktu, że zatarg, który wywołał rewolucję, wypływał z przeciwieństwa interesów stanu trzeciego z interesami dwóch pierwszych stanów. Historycy widzieli, że przeciwieństwo to nie było ani przypadkowe, ani przemijające; w roku 1789 ujawniło się ono bynajmniej nie po raz pierwszy, istniało bowiem już w Stanach Generalnych 1614 r., a nawet wcześniej; było wtedy istotnym pierwiastkiem rozwoju historycznego, ponieważ dzięki niemu nastąpiło wzmocnienie nieograniczonej władzy królewskiej. Historycy musieli zatem wreszcie przyznać, że zatarg ten miał swe korzenie w s t o s u n k a c h e k o n o m i c z n y c h.

Co prawda, w większości opisów epoki rewolucyjnej walka klasowa była i jest jeszcze przedstawiana nie jako siła poruszająca całego przewrotu, lecz tylko jako osobny epizod w starciach filozofów, mówców i działaczy państwowych, tak jak gdyby starcia te nie były ekonomicznym skutkiem walki klasowej. Trzeba było kolosalnej pracy myśli, zanim to, co dawniej uchodziło za prosty epizod, uznano za siłę poruszającą nie tylko całej rewolucji, ale i całego rozwoju historycznego, poczynając od chwili pojawienia się przeciwieństw interesów klasowych.

Powstałe tym sposobem materialistyczne pojmowanie dziejów jeszcze dzisiaj jest często atakowane. Mimo to myśl, że rewolucję francuską zrodziła walka klasowa stanu trzeciego przeciwko dwom pierwszym stanom, już od dawna została prawie powszechnie przyjęta. Z teorii, głoszonej jedynie przez uczonych specjalistów, pogląd ten zamienił się w prawdę popularną, szeroko rozpowszechnioną w Niemczech głównie wśród klasy robotniczej. Zadanie zwolenników tego poglądu polega obecnie nie tyle na jego obronie, ile na strzeżeniu go od wypaczenia.

Sprowadzając rozwój historyczny do walki klasowej, wielu ludzi skłonnych jest przypuszczać, że w społeczeństwie istniały tylko dwa obozy, tylko dwie walczące ze sobą klasy, dwie masy ścisłe i jednorodne — rewolucyjna i reakcyjna, że w społeczeństwie są tylko „szczyty" i „doły". Gdyby to było prawdą, byłoby bardzo łatwo pisać historię. W rzeczywistości jednak stosunki społeczne wcale nie są tak proste. Społeczeństwo przedstawia organizm nadzwyczaj złożony, o układzie coraz to bardziej się wikłającym, z najróżnorodniejszymi klasami, posiadającymi najrozmaitsze interesy, z klasami, które zależ-

nie od okoliczności mogą się grupować w bardzo różnorodne stronnictwa.

Tak rzecz się ma w czasach obecnych i tak było również w epoce rewolucji francuskiej. Toteż krótki przegląd stosunków społecznych Francji sprzed stu laty jest dziś na czasie nie tylko z powodu jubileuszu, który wywołał nowe zainteresowanie się wielką rewolucją [1], lecz również z tego względu, że może nam dostarczyć trochę materiału do wyświetlenia współczesnych stosunków partyjnych.

[1] Niniejsze dzieło wyszło w oryginale w roku 1889.

II

MONARCHIA NIEOGRANICZONA

Zanim przejdziemy do omawiania przeciwieństw interesów klasowych w roku 1789, nie będzie rzeczą zbyteczną, jeśli poświęcimy nieco uwagi ustrojowi państwowemu, w obrębie którego rozwijały się te przeciwieństwa. Formy państwowości bowiem określają zarazem sposoby, którymi poszczególne klasy dążą do urzeczywistnienia swoich interesów — określają formy walki klasowej.

Państwo francuskie od roku 1614 do 1789 było monarchią nieograniczoną, tj. posiadało taką formę państwową, która, zabraniając „poddanym" wszelkiej działalności politycznej, wyłącza w warunkach normalnych możliwość intensywnej walki klasowej i dlatego nie da się pogodzić na dłuższy czas ze społeczeństwem współczesnym. Wszelka walka klasowa musi ostatecznie zamienić się w walkę polityczną, każda bowiem wyłaniająca się klasa, gdy jest pozbawiona praw politycznych, musi walczyć o ich zdobycie. Prawda, że wraz ze zdobyciem tych praw walka polityczna bynajmniej się nie kończy, przeciwnie, właśnie od tej chwili staje się szczególnie silna; jest to okoliczność, która w roku 1789, jako też później — w roku 1848, uderzyła i przestraszyła wielu ideologów.

Absolutyzm, tj. niezależność władzy państwowej od

klas panujących, innymi słowy: forma państwowości, przy której władza naczelna nie jest bezpośrednim narzędziem panowania klasowego, lecz pozornie posiada byt samoistny wznosząc się ponad klasami i stronnictwami, może powstać tylko tam, gdzie poszczególne klasy, biorące udział w życiu społecznym kraju, pozostają w stanie równowagi, to znaczy tam, gdzie żadna z nich nie ma dostatecznej siły, aby zagarnąć w swe ręce władzę państwową. W takich warunkach władza ma możność trzymania w posłuszeństwie każdej z istniejących klas, opierając się na innych klasach oraz przecinając walkę polityczną, narzucania im wszystkim pewnego rodzaju pokoju i zmuszania ich do służenia sobie.

Stan taki wytworzył się we Francji w wieku XVIII. Feudalny sposób wytwórczości upadł, opierająca się na własności ziemskiej szlachta feudalna, jak również duchowieństwo, nie zdołały obronić swej samodzielności politycznej wobec władzy państwowej, poza którą stała, wybijająca się na powierzchnię, plutokracja. Duża część szlachty feudalnej przechodzi wówczas coraz częściej do szeregów szlachty narodowej, zamieniając się w pewnego rodzaju sługi króla, który w zamian za to bierze na siebie obowiązek troszczenia się o ich dobrobyt materialny. Z siły ograniczającej absolutyzm szlachta, a za nią i wyższe duchowieństwo stopniowo zamieniają się w jego podporę.

Władza królewska tym bardziej stawała się nieograniczona, im bardziej wzrastała ta siła, którą nowy sposób wytwórczości podawał jej do rąk. W epoce feudalnej pojedyncze gminy, tworzące państwo, były zupełnie niezależne pod względem ekonomicznym, gdyż same wytwarzały prawie wszystkie produkty konieczne do zaspokajania swych potrzeb. Stąd wynika

i ich samodzielność polityczna. Wytwórczość towarowa i handel uzależniły różne gminy kraju od kilku centrów ekonomicznych, a za centralizacją ekonomiczną poszła i centralizacja polityczna.

Miejsce organów samorządu prowincjonalnego i gminnego zajęły organy scentralizowanego zarządu państwowego, zjawiła się — zdobywająca coraz to nowe dziedziny — biurokracja, która z każdym dniem stawała się coraz to bardziej pokorna i coraz to bardziej uległa wobec władzy centralnej.

Wraz z biurokracją — wskutek całego szeregu przyczyn mających również związek z rozwojem gospodarstwa towarowego, roztrząsanie których zaprowadziłoby nas jednak zbyt daleko — wytworzyła się i stała armia, pozostająca w zupełnej zależności od władzy państwowej; zadaniem jej była przede wszystkim obrona państwa przed niebezpieczeństwem zewnętrznym, ale przydawała się również i na to, żeby siłą tłumić zbrojny opór stawiany władzy państwowej wewnątrz kraju.

Naturalnie, wszystkie te nowatorstwa wymagały pieniędzy, i to wiele pieniędzy; tym sposobem siła władzy państwowej zależała ostatecznie od opodatkowania osób posiadających pieniądze albo zarabiających je. Gdyby te osoby odmówiły płacenia podatków, albo zgodziły się je płacić tylko pod pewnymi warunkami, i gdyby ich żądania zostały uwieńczone powodzeniem, to runąłby absolutyzm i znikłaby zupełna niezależność władzy państwowej. Ale dopóki klasy płacące podatki nie posiadały dostatecznej siły do stawiania oporu, dopóki interesy tych klas nie narzucały im konieczności takiego oporu, dopóty posiadacze władzy państwowej mogli w rzeczy samej wyobrażać sobie, że państwo istnieje tylko dla nich.

Państwo zamieniło się w prostą posiadłość monar-

chy, interesy monarchy zlały się z interesami państwa. Im potężniejsze, im bogatsze było państwo, tym potężniejszy i bogatszy był jego władca. Głównym jego zadaniem stała się troska o dobrobyt materialny swoich poddanych, był jak owczarz troszczący się o dobro tych owiec, które ma zamiar strzyc. Im bardziej biurokracja rugowała dawne formy zarządzania państwem, tym głębiej wkraczała w dziedzinę stosunków czysto materialnych. Władza państwowa starała się popierać handel, przemysł i rolnictwo, usuwać środkami administracyjnymi i innymi wszelkie napotykane na ich drodze przeszkody, starała się bronić wytwarzające bogactwa klasy od nadmiernego ucisku i osłabiającego wyzysku klas uprzywilejowanych. Słowem, im bardziej absolutną stawała się monarchia, tym usilniej dążyła do tego, żeby być „oświeconą".

Jest to właśnie ta strona ustroju monarchicznego XVIII w., na którą przede wszystkim zwracają uwagę wszyscy ci, którzy na podstawie historii chcą wykazać, że obrona słabych przed silnymi, troska o dobrobyt materialny ludu oraz działalność społeczna jest naturalnym powołaniem monarchii i że to powołanie jest udaremnione przez parlament, który zamiast panowania stojącego ponad stronnictwami monarchy, popiera panowanie stronnictw albo interesów pewnych grup.

Ci, którzy tak sądzą, zapominają o dwóch rzeczach. Przede wszystkim wtrącanie się władzy absolutnej XVIII w. do stosunków ekonomicznych nie miało na celu obrony s ł a b y c h, lecz interesy „bogactwa narodowego", tj. wytwórczości towarowej.

W istocie swej nie było to niczym innym, jak zaspokojeniem życzeń k a p i t a l i s t ó w, przy tym częstokroć w formie jak najbardziej bezpośredniej:

drogą ceł ochronnych, monopolów, zapomóg dla ich przedsiębiorstw. Nawet takie posunięcia, które bezpośrednio nie przynosiły im korzyści, jak na przykład ulepszenie szkół, zniesienie poddaństwa ipt., wychodziły ostatecznie na ich korzyść. Absolutnemu monarsze XVIII w. nigdy nie przyszłoby do głowy troszczyć się o słabych i stawać w ich obronie, gdyby to nie przyczyniało się do powiększenia „bogactwa narodowego", a zatem i do wzrostu dochodów państwowych. Cała troskliwość władców tego wieku o proletariat, zarówno pracujący, jak nie pracujący (lumpenproletariat), sprowadzała się w ogóle do szeregu zarządzeń policyjnych, zmierzających do jego poskromienia. Włościanin zaś i rzemieślnik, jeżeli byli bronieni, to tylko o tyle, o ile chodziło o obronę ich wypłacalności jako podatników.

Obrona słabych przed silnymi w rzeczywistości miała więc na celu zaspokojenie żądań klasy, od której władza państwowa była uzależniona — jeśli jeszcze nie pod względem politycznym, to w znacznej mierze już pod względem ekonomicznym — miała na celu zaspokojenie żądań burżuazji.

Po wtóre, obok podatków pieniężnych drugim wielkim źródłem dochodów monarchów XVIII w. była ich własność ziemska, co oczywiście pozostawało w związku z feudalnym pochodzeniem władzy królewskiej. W każdym kraju król był największym (jeśli pominiemy kościół) właścicielem ziemskim — a przede wszystkim we Francji.

„Nie mamy dokładnych wiadomości o tym, jak była podzielona własność ziemska w roku 1789 — mówi Léonce de Lavergne — wiemy tylko, że domeny królewskie wraz z ziemiami gminnymi stanowiły w przybliżeniu piątą część cało-

go obszaru Francji"[1]. Jak olbrzymie były te dobra, można sądzić choćby z tego, że same tylko lasy królewskie, służące do polowania, zajmowały obszar miliona mórg, tj. dorównywały prawie obszarowi Wielkiego Księstwa Oldenburskiego.

Do tego należy jeszcze dodać posiadłości książąt z rodziny królewskiej, które, według Neckera, stanowiły siódmą część całej Francji.

Ale interesy króla, jako pana domen feudalnych, były sprzeczne z interesami, jakie reprezentował on jako pan tej rozległej domeny, która nazywa się państwem. Będąc sam władcą feudalnym i posiadając krewnych oraz „dobrych przyjaciół" również feudałów, król miał poważne powody do uporczywego obstawania przy swoich przywilejach feudalnych i przy feudalnych sposobach eksploatacji, miał powody do sprzeciwiania się wszelkim reformom, które by mogły przywileje te ograniczyć. Jako głowa feudalizmu, widział on rolę zarządu państwowego bynajmniej nie w podnoszeniu materialnego dobrobytu poddanych, lecz w wyciskaniu z nich jak najwięcej pieniędzy, po to by otrzymane środki obracać na swoją korzyść, na korzyść swego dworu i szlachty, która teraz zamieniała się w dworzan. Jako głowa uprzywilejowanych, król dążył nie do tego, ażeby władza państwowa wzięła w obronę „słabych", tj. nieuprzywilejowanych, przeciwko silnym, tj. uprzywilejowanym, lecz odwrotnie, do tego, by zdusić najmniejsze próby obrony słabych przed nadużyciami silnych.

Tak więc w przedstawicielach władzy królewskiej XVIII w. żyły dwie dusze, jedna „oświecona", druga ulegająca mocom „ciemnych przesądów średniowiecza". Szlachta, klasa upadającego feudalnego sposobu

1 L. de Lavergne: Économie rurale de la France depuis 1789, Paris 1866, str. 49.

wytwórczości, i burżuazja, klasa rozwijającego się kapitalistycznego sposobu produkcji, doszły do pewnej równowagi i dzięki temu władza królewska w wieku XVIII formalnie panowała nad obiema, stała ponad nimi, faktycznie jednak była zmuszona bronić interesów tak jednej, jak i drugiej klasy. „Obrona słabych przed silnymi" sprowadzała się więc w rzeczywistości do tego, że absolutyzm królów francuskich — o tyle, o ile w ogóle mógł wywierać wpływ na życie ekonomiczne kraju — oddawał niższe klasy narodu na pastwę nie tylko feudalnego, lecz i kapitalistycznego wyzysku, tak że w końcu zaczął uchodzić w oczach tych klas za uosobienie wszelkiego wyzysku w ogóle.

Interesy burżuazji i szlachty pozostawały jednak w zbyt dużej ze sobą sprzeczności, aby monarchia absolutna mogła w pełni zadowolić i jedną, i drugą. Dogadzanie szlachcie krzywdziło burżuazję i na odwrót.

Walka tych dwóch klas nigdy nie ustawała w okresie rządów absolutnych, ale dopóki trwał stan równowagi, dopóki burżuazja nie była jeszcze na tyle silna, by uzależnić władzę państwową od siebie, walka klasowa między wyższymi warstwami społeczeństwa przybierała przeważnie formę zanoszenia skarg przed króla; rozumie się, że udział w takiej walce mogły brać tylko „szczyty" społeczne: szlachta nadworna i wyżsi dostojnicy kościoła, wielcy finansiści, wybitni przedstawiciele biurokracji i „inteligencji" itp.

Król francuski tak samo nie mógł stanąć ani poza stronnictwami, ani ponad nimi, jak każdy inny monarcha w państwie o konstytucyjnym sposobie rządzenia. Różnica polegała tylko na tym, że interesy, których narzędziem stawał się król, były bez po-

równania mizerniejsze, a machinacje i intrygi, jakich używano, by na niego wpływać, o wiele bardziej nikczemne.

Ze względu na walkę, jaką przed tronem wiodły różne kliki, z których każda usiłowała przeciągnąć króla na swoją stronę, ze względu na tę dwoistość, jaka cechowała władzę królewską w XVIII w., dwoistość wynikającą z tej okoliczności, że król był jednocześnie głową rządu współczesnego państwa i głową szlachty feudalnej, ze względu na to wszystko głowa państwa powinna była posiadać wielką jasność umysłu i stałość charakteru, aby przynajmniej choć z pozoru utrzymać jedność i porządek w rządzie. Toteż musiał się wytworzyć wprost niemożliwy do usunięcia bezład, skoro ster rządów dostał się w ręce człowieka zupełnie bez charakteru. Takim zaś człowiekiem był Ludwik XVI. Na poprawę sytuacji absolutnie nie mogła wpłynąć ta okoliczność, że jego małżonka, Maria Antonina, miała zdecydowanie inny charakter, którego znamienną cechą był upór, tym zgubniejszy, że wypływający z pychy. Nie miała ona najmniejszego wyobrażenia o tym, że istnieją inne jeszcze potrzeby oprócz potrzeb dworu. W jej oczach państwo powinno było spełniać jedno tylko zadanie: bawić dwór i zaopatrywać go w pieniądze.

Zaraz zobaczymy, co to oznaczało.

III

SZLACHTA I DUCHOWIEŃSTWO

Jakkolwiek nieznaczna była liczebność szlachty i duchowieństwa [1], jednak tylko ich część, i to bynajmniej nie wielka, wiodła w XVIII w. owo szerokie, zbytkowne życie, pełne blasku i bezmyślnej rozrzutności, które uchodzi za najbardziej znamienną cechę społeczeństwa uprzywilejowanego epoki przedrewolucyjnej. Tylko górne warstwy szlachty i duchowieństwa, posiadające ogromne dobra, mogły sobie pozwolić na zbytek i rozrzutność, mogły współzawodniczyć ze sobą o blask swoich salonów, wspaniałość festynów, przepych budowli — na tej jedynej arenie współzawodnictwa, która szlachcie jeszcze pozostała. By współzawodniczyć na innych arenach, takich, gdzie powodzenie zależy od zalet osobistych, arystokracja była za leniwa i zbyt niedołężna. Współzawodnictwo o to, kto może wydać najwięcej pieniędzy, a więc, jak można było wnioskować, kto ma największe dochody, całkowicie odpowiadało charakterowi wytwórczości towarowej, z którą szlachta w znacznej swej części już się oswoiła. Tylko że nie potrafiła ona

[1] Według obliczeń Taine'a ogólna liczba szlachty i duchowieństwa dochodziła do 270 tys. Rodzin szlacheckich, według niego, było od 25 do 30 tys., w sumie składających się z 140 tys. członków; duchownych 130 tys., w tej liczbie około 60 tys. proboszczów i wikariuszy, 23 tys. mnichów i 3,7 tys. mniszek. (Taine: Les origines de la France contemporaine).

jeszcze tak przystosować się do nowego sposobu wytwórczości, jak na przykład szlachta dzisiejsza. Szastać pieniędzmi arystokracja bardzo prędko się nauczyła, ale nie umiała jeszcze tak umiejętnie powiększać swoich dochodów przez handel wełną, zbożem, wódką itp., jak to czynią ich dzisiejsi towarzysze stanu. Zmuszona poprzestawać jedynie na swoich dochodach feudalnych, arystokracja szybko wpadła w długi. Jeśli taka była sytuacja wyższej arystokracji, to jeszcze gorsze było położenie średniej i niższej szlachty. Żyło w kraju wiele rodzin szlacheckich, które otrzymywały ze swych majątków nie więcej, jak 50, a nawet 25 liwrów dochodu rocznego. A im szlachta była uboższa, tym bardziej bezwzględnie i nielitościwie wyzyskiwała swoich chłopów; trudno jednak było z nich wiele wycisnąć. Pożyczki przynosiły tylko chwilową poprawę, potem bieda jeszcze bardziej dawała się we znaki.

Jedynej trwałej pomocy w biedzie mogło udzielić państwo; toteż łupienie państwa stawało się coraz to częściej głównym zajęciem szlachty. Wszystkie intratne posady, którymi król rozporządzał, stały się łupem arystokracji. A liczba zrujnowanych albo bliskich ruiny arystokratów co rok wzrastała, musiała więc i liczba takich posad wzrastać: wymyślano najniedorzeczniejsze preteksty, aby potrzebującemu arystokracie nadać prawo wyzyskiwania państwa. Rozumie się samo przez się, że na równi z podupadłą szlachtą nie zapomniano i o wyższych jej warstwach, które były także zadłużone i chciwe.

Szczególne powodzenie, jako najbardziej pożądane synekury, miały urzędy dworskie. Były one najlepiej opłacane, wymagały najmniej wiedzy i pracy i wiodły prosto do samego źródła wszystkich łask i rozkoszy. Przy dworze umieszczono około 15 tys. osób, po

większej części z jedynym celem: pobierania z tego lub owego tytułu pewnych dochodów. Dziesiąta część wszystkich dochodów państwowych — przeszło 40 mln liwrów — szła na wyżywienie tej całej zgrai darmozjadów.

Ale arystokracja nie poprzestawała na tym. W zawiłym systemie zarządu państwowego istniały różnego rodzaju urzędy. Niektóre z nich wymagały jednak uprzedniego przygotowania, wiedzy i pracy; na nich faktycznie spoczywała cała troska zarządzania państwem. Takie posady opłacano miernie i oddawano mieszczaństwu. Ale obok tego istniały jeszcze stanowiska przeznaczone wyłącznie do „reprezentacji"; jedynym ciężkim obowiązkiem nałożonym na tych, którzy je zajmowali, było wesołe przepędzanie czasu. Posady te były hojnie opłacane i dostawały się tylko szlachcie [1].

Dawniej przy nadawaniu stopni oficerskich w armii głównie zwracano uwagę na zasługi. Za Ludwika XIV oficerów pochodzenia mieszczańskiego traktowano na równi ze szlachtą; tylko w czasie pokoju szlachcie oddawano pierwszeństwo. Kiedy jednak szlachta zaczęła coraz bardziej zagarniać urzędy państwowe, starała się również zagarnąć wyższe stanowiska w armii. Podoficerzy, na barkach których spoczywała cała ciężka praca, mogli rekrutować się z „motłochu", ale dobrze płatne i nie wymagające wielkiej pracy (zwłaszcza w czasie pokoju) i wiedzy stanowiska oficerskie stały się przywilejem szlachty.

---

1 Według ordonansu z roku 1776 istniały następujące urzędy: 18 generalnych gubernatorów prowincjonalnych z pensją po 60 tys. liwrów, i 21 — z pensją 40 tys. liwrów; 114 gubernatorów z pensją od 8 do 12 tys. liwrów; 176 poruczników miejskich z pensją od 2 do 16 tys. liwrów. W roku 1788 dodano do nich jeszcze 17 urzędów naczelnych komendantów miejskich z pensją od 20 do 30 tys. liwrów rocznie oraz dodatkiem miesięcznym „na mieszkanie" od 4 do 6 tys. liwrów. A oprócz tego istniały posady młodszych komendantów.

Na utrzymanie oficerów wydawano rocznie 46 mln liwrów, a cała pozostała armia musiała się kontentować 44 mln. W miarę jak wzrastało zadłużenie szlachty, wzrastało i jej dążenie do zagarnięcia wyłącznego prawa do stopni oficerskich.

Na kilka lat przed rewolucją (w roku 1781) wyszedł edykt królewski, na mocy którego stopnie oficerskie mogły być nadawane tylko starej szlachcie. Każdy, kto chciał zostać oficerem, musiał wykazać, że jego rodzina przynajmniej od czterech pokoleń jest szlachecka. Tym sposobem nie tylko mieszczaństwo, ale i cała nowo kreowana w ciągu ostatniego stulecia szlachta była pozbawiona możności uzyskania stopni oficerskich.

W kościele wyższe, dobrze płatne stanowiska były w większej części już od dawna przywilejem szlachty, a i pozostałe jej się tylko dostawały, ponieważ ich obsada zależała od króla, który z biegiem czasu coraz to częściej oddawał je szlachcicom.

Na niedługo przed rewolucją szlachcie przyznano — jeśli nie oficjalnie, to faktycznie — wyłączne prawo do zajmowania wszystkich dobrze płatnych stanowisk kościelnych. 1,5 tys. bogatych parafii, których kolatorem był król, oraz wszystkie biskupstwa i arcybiskupstwa dostały się w ręce szlachty. Wśród nich były dość ciepłe gniazdka. 131 biskupów i arcybiskupów Francji miało razem, z tytułu swych stanowisk, przeszło 14 mln liwrów rocznego dochodu, tj. przeszło 100 tys. liwrów na osobę. Kardynał Rohan, arcybiskup sztrasburski, jako książę kościoła pobierał przeszło milion liwrów rocznie. Przy takim dochodzie, oczywiście, mógł sobie pozwolić ten dostojny pasterz na zbytek zakupienia dla Marii Antoniny naszyjnika brylantowego, w nadziei, że tym zdobędzie sobie jej łaski.

Ale wszystkie te, tak dobrze płatne synekury w kościele, armii, administracji, przy dworze — nie zadowalały jeszcze zadłużonej i łakomej szlachty. Ciągle zasypywano króla prośbami o nadzwyczajne datki dla szlachty z kasy państwowej: raz — aby wydobyć zadłużonego arystokratę z kłopotów pieniężnych, innym znów razem — by po prostu zaspokoić zachciankę jakiejś osoby znakomitego rodu.

W ciągu pięciu lat — od roku 1774 do 1789 — wydano tym sposobem z kasy państwowej, w formie pensji, podarków itp., 228 mln liwrów, z czego 80 mln dla samej rodziny królewskiej. Każdy z dwóch braci Ludwika XIV otrzymał przeszło 14 mln. Na kilka lat przed rewolucją minister finansów, Calonne, wydał — pomimo straszliwego niedoboru w budżecie państwowym — 15 mln liwrów na kupno zamku Saint-Cloud dla królowej i 14 mln na kupno pałacu Rambouillet dla króla. Król widział w sobie nie tylko głowę państwa, lecz także „pierwszego szlachcica", i jako taki — nie wahał się bogacić na koszt państwa.

Rodzina Polignac, ciesząca się szczególną łaską Marii Antoniny, otrzymała 700 tys. liwrów tytułem samych tylko pensji. Księciu Polignac oprócz tego wyznaczono rentę dożywotnią w kwocie 120 tys. liwrów rocznie i dano jednorazową zapomogę — 1 200 tys. liwrów — na kupno majątku [1].

Mówiliśmy dotychczas o całej szlachcie jako o sprawcach systematycznej grabieży państwa i narodu. Ale nie jest to zupełnie ścisłą prawdą. Poważna część szlachty, chociaż oczywiście jej mniejszość, nie tylko nie brała udziału w łupiestwie, ale była na nie bardzo

---

[1] Szczegółowe wiadomości o tych pensjach można znaleźć, między innymi, u L. Blanca: Histoire de la révolution française, księga 3, rozdział 5, „Le livre rouge".

oburzona. Do tej mniejszości należała drobna i średnia szlachta prowincji zacofanych ekonomicznie, w których gospodarstwo feudalne zachowało się jeszcze w całej pełni, jak na przykład w Wandei i po części w Bretanii. Tam panowie feudalni, zamiast się przenosić do Paryża i Wersalu, żyli po dawnemu w swoich zamkach, wśród swoich włościan. Sami byli zresztą włościanami, tylko wyższego rzędu — nieokrzesani i ciemni, ale krzepcy i świadomi własnej godności. Potrzeby swoje, sprowadzające się głównie do tego, by dobrze zjeść i wypić, zaspokajali łatwo z tych opłat w naturze, które pobierali od włościan. Nie będąc obarczeni długami i nie prowadząc życia rozrzutnego, nie mieli w tym żadnego interesu, żeby powiększać nałożone na włościan powinności albo żeby je nielitościwie egzekwować. Z włościanami swoimi pozostawali w bardzo dobrych stosunkach. Już samo wspólne pożycie w jednakowych warunkach wywołuje pewne sympatie. Przy tym feudał w zapadłej prowincji nie był takim wyzyskiwaczem i pasożytem, jakim była szlachta w miejscowościach podmiejskich.

W okręgach bardziej uprzemysłowionych biurokracja królewska powoli zagarniała w swe ręce wszystkie, mające jakieś znaczenie, stanowiska administracyjne, policyjne i sądowe, które dawniej zajmowali panowie feudalni. Urzędy, które jeszcze pozostały w rękach szlachty, były zupełnie niepotrzebne do utrzymania porządku i bezpieczeństwa w ich okręgu: ze środka popierania dobrobytu ludności zamieniły się one w narzędzie jej wyzysku.

Urzędnicy sądowi i policyjni, sprawujący władzę z ramienia właścicieli ziemskich, nie pobierali żadnych pensji. Przeciwnie, sami musieli jeszcze za swoje posady p ł a c i ć, nietrudno więc zrozumieć, że

wraz ze stanowiskiem otrzymali pozwolenie na obdzieranie poddanych swego pana.

Zupełnie inaczej rzecz się miała w zacofanych okręgach feudalnych. Tam właściciel ziemski jeszcze rządził terytorium należącym do niego, troszczył się o drogi i o utrzymanie na nich bezpieczeństwa, rozstrzygał spory między swoimi poddanymi, karał za wykroczenia i zbrodnie. Niekiedy nawet pełnił dawną funkcję — bronił swych poddanych od wroga zewnętrznego. Prawda, że teraz tym wrogiem nie była armia nieprzyjacielska. Wrogiem — ukazującym się od czasu do czasu w jego posiadłościach i prowadzącym je do ruiny — byli królewscy poborcy podatków; znamy przykłady przepędzania takich poborców przez pana feudalnego, jeśli ich żądania były zbyt wygórowane.

Szlachta ta bynajmniej nie miała ochoty słuchać ślepo władzy królewskiej. Natomiast szlachta dworska oraz ludzie, którzy w armii, kościele i wyższej biurokracji zajmowali pewne stanowiska, mieli wszelkie powody, by obstawać za wzmocnieniem absolutnej władzy monarszej. To, czego feudałom nie udało się wycisnąć z chłopa na mocy praw feudalnych, wysysali z niego poborcy podatkowi i urzędnicy królewscy, a ci mogli sobie poczynać tym śmielej, im większą czuli za sobą siłę, im bardziej nieograniczona stawała się władza królewska. Im bardziej była nieograniczona władza królewska, tym samowolniej mogła zwiększać ciężary podatkowe i tym większą część dochodów państwowych mogła oddawać swoim kreaturom, zamiast przeznaczać te dochody na pokrycie potrzeb państwowych.

Wszystko to nie przypadało do smaku szlachcie osiadłej na roli. Wszak jej z łask dworu nic się nie dostawało, a poza tym ona ich nie potrzebowała.

Wzrost ciężarów podatkowych pociągał za sobą nędzę jej podwładnych. W miarę zaś tego, jak władza sądowa, administracyjna i policyjna przechodziła w ręce biurokracji królewskiej, coraz bardziej malał wpływ i znaczenie szlachty stale przebywającej w swych włościach.

Szlachta osiadła na roli nie uważała się za sługi królewskie, przeniknięta prawdziwym duchem feudalnym czuła się równą królowi. Dla niej król był wciąż, jak w epoce feudalnej, tylko największym właścicielem ziemskim kraju, tylko „pierwszym wśród równych", który bez jej zgody nie może dokonywać żadnych zmian w państwie. Toteż natarczywie przeciwstawiała mu swoje starodawne prawa i swobody, chociaż, co prawda, bez szczególnego powodzenia. Do opozycji takiej miała zresztą uzasadnioną podstawę, gdyż w miarę tego jak wzrastały potrzeby kasy państwowej, wprowadzano coraz to nowe podatki, które nakładano i na szlachtę, wbrew dawnym prawom zwalniającym ją od wszelkiego opodatkowania. Tym sposobem feudałowie osiadli na roli musieli brać udział w ponoszeniu ciężarów nowego państwa, nie korzystając przy tym z jego dobrodziejstw. Nietrudno więc zrozumieć, że warstwa ta coraz to głośniej nawoływała do oszczędności w wydawaniu funduszów państwowych, domagając się jednocześnie reformy gospodarki finansów i kontroli nad nią ze strony przedstawicieli stanowych.

Widzimy więc, że szlachta rozpadała się na dwie wrogie grupy: na szlachtę dworską (i jej stronników) oraz na szlachtę wiejską (osiadłą na roli). Pierwsza grupa, w skład której wchodziła cała wyższa i część średniej i niższej arystokracji, występowała stanowczo w obronie nieograniczonej władzy królewskiej. Natomiast druga grupa, składająca się ze średniej

i niższej szlachty zamieszkującej okręgi pod względem ekonomicznym zacofane, natarczywie i energicznie domagała się zwołania przedstawicieli stanowych dla przeprowadzenia kontroli nad zarządem państwowym.

Jeśli teraz te stronnictwa przeszłości oceniać będziemy nie pod kątem interesów klasowych, jakie reprezentowały, lecz według zewnętrznego podobieństwa ich dążeń do współczesnych haseł partyjnych, to najzacofańsze żywioły Francji tej epoki wypadnie nam nazwać „postępowymi", ponieważ wraz ze stanem trzecim dążyły one do tego, żeby na miejsce monarchii nieograniczonej postawić monarchię ograniczoną.

A jednak nikt nie zachowywał się tak wrogo względem nowych idei i wyłaniających się nowych klas, jak właśnie te żywioły. Szlachcic z zapadłego zakątka żywił do burżuazji nienawiść wieśniaka do mieszczucha, nienawiść przedstawiciela gospodarki naturalnej do przedstawiciela gospodarki pieniężnej, człowieka nieoświeconego do oświeconego, nienawiść człowieka od dawna mieszkającego w pewnej miejscowości do przybysza, nie wiadomo skąd przybyłego. Przy spotkaniu z nim, co wprawdzie nieczęsto się zdarzało, zachowywał się względem niego z nie ukrywaną pogardą.

Szlachta miejska, przeciwnie, prędko się zbliżała do części mieszczaństwa. Naturalnie, krawca albo rękawicznika arystokrata nadworny traktował jeszcze bardziej z góry niż jego krewniak ze wsi. Rzemieślnik powinien był sobie poczytywać za zaszczyt, że mógł pracować dla takiej znakomitej osobistości; toteż żądanie zapłaty za robotę wydawało się niesłychanym natręctwem. Ale zupełnie inny był stosunek arystokraty do przedstawicieli tuzów finansowych. Wszak oni mieli pod dostatkiem właśnie tego, czego arystokracja naj-

bardziej potrzebowała — pieniędzy; od nich zależało ogłoszenie arystokraty bankrutem albo przedłużenie jego istnienia. Z wyjątkiem nielicznych rodzin cała arystokracja dworska — od króla aż do ostatniego pazia — siedziała u finansistów w kieszeni. Z ludźmi, których się tak potrzebuje, nie można się było obchodzić zbyt wyniośle.

Sam Ludwik XIV — ten dumny „król-słońce" — oddawał pewnego razu w obecności całego dworu honory książęce Żydowi — Samuelowi Bernardowi; jak było, tak było, ale ten człowiek posiadał 60 mln!

Czyż słudzy królewscy mogli okazywać większą dumę niż ich pan? Wkrótce arystokracja pieniężna zaczęła się coraz bardziej upodabniać do arystokracji rodowej: zdobywała tytuły szlacheckie i posiadłości ziemskie. Nierzadko zdarzało się teraz, że jakiś zrujnowany arystokrata starał się pozłocić swój zardzewiały herb żeniąc się z bogatą przedstawicielką świata finansowego. Dla pocieszenia się mawiano przy tym, że przecież i najlepsza rola wymaga od czasu do czasu nawozu.

Toteż arystokracja coraz to częściej oddawała się nawożeniu swej roli. Salony tuzów finansowych w niczym nie ustępowały salonom szlachty rodowej, przy tym — i to może najbardziej sprzyjało zbliżeniu tych dwóch klas — tak jedni, jak i drudzy kąpali się w tym samym błocie. Sprzedajne kobiety były jednakowo dostępne światowcom ze stanu trzeciego, jak hrabiom, książętom, biskupom.

W domu rozpusty nikną wszelkie przegrody stanowe, a dwór francuski coraz to bardziej zbliżał się do tego wzoru. Mówiliśmy już o próbie pewnego arcybiskupa kupienia królowej za brylanty.

Niektórzy pisarze, jak na przykład Buckle, dopa-

trywali się w tym zbliżeniu szlachty paryskiej do finansistów „ducha demokratycznego", który jakoby przenikał przed rewolucją do wszystkich głów, bez względu na to, do jakiej klasy należeli ich posiadacze. Niestety, właśnie w tym czasie na żądanie „demokratycznej" szlachty zaczęto szczególnie surowo wymagać w wojsku od starających się o stopnie oficerskie pochodzenia arystokratycznego; urzędy kościelne stały się również wyłączną domeną szlachty i dla szlachty utworzono w administracji nowe synekury. Nie idee demokratyczne zatem, lecz interesy materialne zacierały tę nierówność, która rozdzielała starą szlachtę rodową od plutokracji, właśnie wtedy, kiedy wzrastały roszczenia arystokracji do wyłącznego korzystania z urzędów państwowych.

„Wolność od przesądów" arystokracji paryskiej w dziedzinie stosunków towarzyskich była w oczach szlachty wiejskiej czymś niesłychanym. Jeszcze bardziej gorszyła ją „wolność od przesądów" w dziedzinie religii i moralności. Szlachcic wiejski, żyjący w systemie wytworzonym przez dawne stosunki feudalne, trzymał się twardo światopoglądu, który im odpowiadał, zachował przywiązanie do wiary ojców. Dla szlachcica paryskiego natomiast resztki feudalizmu były tylko środkiem do wyzyskiwania mas i trzymania ich w posłuszeństwie. Żadnego innego znaczenia nie mogły dla niego mieć jego funkcje, z których pozostał mu tylko tytuł i połączone z nim dochody. Tak samo było z religią. Dla szlachcica mieszkającego w mieście, z dala od relikwii feudalnych, straciła ona wszelkie znaczenie, ale — podobnie jak inne przeżytki epoki feudalnej — była mu potrzebna na to, by wyzyskiwać i utrzymywać w posłuszeństwie masy. Dla „nieoświeconego" ludu religia była, jego zdaniem, ko-

nieczna, lud nie potrafi żyć bez wiary, ale „oświecona" szlachta mogła sobie drwić z dogmatów religijnych.

Ze wzrostem wolnomyślności w salonach arystokratycznych szedł w parze upadek dawnych obyczajów, które utraciły swą podstawę materialną. Dla pana feudalnego gospodarstwo domowe i godność jego żony miały ogromne znaczenie. Przy nieregularnie prowadzonym, nieporządnym gospodarstwie domowym rozprzęgał się cały mechanizm wytwórczości. Trwałe śluby małżeńskie i surowe obyczaje były więc konieczne. Ale dla szlachcica dworskiego, który całe życie spędzał na zabawach i marnotrawstwie, małżeństwo i rodzina stały się zupełnie zbyteczne; zmieniły się w niepotrzebną formalność, której jeszcze wprawdzie dopełniano — boć nie można obejść się bez prawnych spadkobierców — ale której nikt nie cenił zbyt wysoko. Nazbyt dobrze wszyscy wiedzą, jaki przykład dawali królowie, jeśli chodzi o „wolną miłość", aby warto było nad tym się zatrzymywać.

Łatwo pojąć, że szlachtę osiadłą na roli tak samo gorszyła „wolność od przesądów" szlachty miejskiej, jak rabowanie przez nią skarbu państwowego. Szlachta miejska natomiast zarzucała „hreczkosiejom" nieokrzesanie i gnuśność. Oba te ugrupowania szlacheckie odnosiły się do siebie bardzo wrogo.

Oprócz wymienionych dwóch stronnictw, składających się z panów feudalnych, była jeszcze pewna grupa szlachty, która całkowicie przeszła na stronę nieprzyjaciela, odrzucając system feudalny w samych jego podstawach. W szeregach niższej, zrujnowanej szlachty znajdowało się wielu ludzi, którym nie uśmiechała się kariera kościelna, nie odpowiadała służba wojskowa, przy dworze zaś nie mieli szczęścia: nie potrafili się tam wybić albo wręcz wpadli w nie-

łaskę. Znajdowało się wreszcie sporo ludzi, w których zepsucie moralne arystokracji dworskiej budziło taką samą odrazę, jak ograniczenie i nieokrzesanie szlachty wiejskiej, ludzi, w których ciężkie położenie mas ludowych budziło głębokie współczucie, dlatego uważali za konieczne zburzenie panującego systemu. Wszyscy oni przeszli na stronę stanu trzeciego, przystali do jego inteligencji, do literatów, dziennikarzy, pamflecistów, których siła z każdym dniem wzrastała, w miarę tego jak rosło znaczenie stanu trzeciego. Tym sposobem do stanu trzeciego przyłączyły się najinteligentniejsze, najenergiczniejsze, najśmielsze i najsilniejsze duchowo żywioły arystokracji. Z początku ci ludzie przechodzili do obozu mieszczańskiego pojedynczo, ale gdy jego zwycięstwo stało się oczywiste, pospieszyli tam tłumnie i przez to znacznie osłabili swoją klasę, właśnie w najbardziej decydującej chwili, kiedy musiała ona wytężać wszystkie swoje siły, aby przynajmniej odroczyć godzinę swego upadku.

W tym samym czasie zdradziły stary porządek również dwie jego podpory, na których najmocniej się opierał — d u c h o w i e ń s t w o i a r m i a.

Jak już powiedziano, wyższe stanowiska, zarówno w kościele, jak w armii, zajmowała wyłącznie szlachta. Stan trzeci zaś dostarczał podoficerów i niższych duchownych, którzy mieli — każdy w swoim zakresie — spełniać to samo zadanie: przeobrażać swoich podwładnych w bezduszne maszyny, słuchające bez oporu wszystkich rozkazów wydawanych przez „górę". Ale ludzie, mający wychowywać niewolników dla klas panujących i nimi kierować, należeli sami do wyzyskiwanych.

Bogactwa kościoła były olbrzymie. Należała do nie-

go piąta część całego obszaru Francji, i to najżyźniejsza i najlepiej zagospodarowana. Majątki kościoła przedstawiały o wiele większą wartość niż inne posiadłości ziemskie. Oceniano je na 4000 mln liwrów[1], a dochód z nich wynosił do 100 mln.

Oprócz tego dawała duchowieństwu 123 mln rocznie dochodu dziesięcina. Lwia część tych kolosalnych dochodów — nie mówiąc już o dochodach z własności ruchomej różnych korporacji kościelnych — dostawała się wyższym dostojnikom kościoła i klasztorom[2]; niższe zaś duchowieństwo żyło w ciężkiej biedzie w nędznych lepiankach, niejednokrotnie przymierając głodem. A jednak na nie zostały nałożone wszystkie te zadania, które w ogóle kościół jeszcze spełniał. Duchowieństwo parafialne nie odczuwało swej przynależności do warstwy uprzywilejowanej. Połączone węzłami krwi ze stanem trzecim, pozbawione wszelkiej nadziei na otrzymanie kiedykolwiek awansu, ubogie, obarczone ciężką pracą, żyjące wśród ludności nieszczęśliwej, wydziedziczonej, miało w nią wpajać obowiązek bezwzględnego posłuszeństwa wobec tych rozprożniaczonych darmozjadów, od których samo — zamiast wdzięczności — doznawało tyle upokorzeń i krzywd; duchowni ci mieli popierać wyzysk ludu, z którego nie było już co zdzierać, wyzysk swych ojców i braci na korzyść dumnych próżniaków, którzy razem ze swymi kochankami nie wahali się marnować owoców pracy tysięcy ludzi.

---

[1] W roku 1791 deputowany Amelot ocenił wartość sprzedanych i wystawionych na sprzedaż majątków kościelnych, nie licząc lasów, na 3700 mln.

[2] Roczny dochód 399 członków zakonu premonstratów przewyższał milion; 298 benedyktynów klasztoru Kluniackiego (Cluny) otrzymywało 1,8 mln liwrów rocznie, a benedyktyni St. Maur (1672 zakonników) mieli czystego dochodu 8 mln, nie licząc dochodów ich opatów i przeorów, którzy w przybliżeniu pobierali taką samą sumę.

Podobnie i podoficerowie w armii musieli za darmo ciągnąć swą wieczną taczkę, bez nadziei lepszej przyszłości, pozwalając jeździć na sobie różnym niedorostkom pochodzenia szlacheckiego, nie znającym się zupełnie na służbie wojskowej, nawet się nią nie interesującym, gdy tymczasem na nich spadała większa część ciężkiej i odpowiedzialnej pracy.

Im bardziej rosły ambicje i chciwość feudałów, im zazdrośniej strzegła szlachta swych praw do intratnych posad w armii i kościele, tym bardziej podoficerowie i duchowieństwo parafialne ciążyło w stronę stanu trzeciego. Posiadający władzę naturalnie nie spostrzegali tego zjawiska, ufni w owo ślepe posłuszeństwo, którego wymagano od niższych przedstawicieli armii i kościoła. Tym silniejszy więc był cios, jaki na nich spadł w chwili decydującej, gdy przeciwko nim zwróciły się te siły, na które najbardziej liczyli i których pomocy wtedy właśnie najbardziej potrzebowali.

W Stanach Generalnych roku 1789, zaraz po ich zwołaniu, poruszono kwestię pierwszorzędnej wagi: jaki ma być porządek głosowania? Stan trzeci żądał głosowania według liczby deputowanych, ponieważ liczba jego przedstawicieli w dwójnasób przewyższała liczbę deputowanych dwóch pozostałych stanów. Szlachta zaś, przeciwnie, żądała głosowania według stanów, licząc na to, że z pomocą duchowieństwa uczyni ze Stanów Generalnych narzędzie swoich interesów. Ale duchowieństwo zawiodło oczekiwania szlachty. W liczbie jego przedstawicieli było 48 arcybiskupów i biskupów, 35 opatów i dziekanów oraz 208 niższych duchownych. Ogromna większość tych ostatnich przeszła na stronę stanu trzeciego i przyczyniła się w znacznej mierze do tego, że przyjęto głosowanie według liczby deputowanych.

Sprawę szlachty miała naprawić armia. Dwór czynił przygotowania wojenne w Wersalu i Paryżu, można się więc było spodziewać, że szykuje się do zamachu stanu. Na dworze liczono na to, że jeśli uda się zgnieść lud Paryża, to nietrudno będzie załatwić się ze Zgromadzeniem Narodowym, w które zamieniły się Stany Generalne. Z łatwością sprowokowano powstanie podając do dymisji Neckera (12 lipca), ale powstanie to bynajmniej nie skończyło się po myśli dworu, który sam je wywołał. Gwardia francuska od razu przeszła na stronę ludu, inne zaś pułki nie chciały strzelać do tłumu i oficerowie byli zmuszeni je odwołać, obawiając się, że pójdą one za przykładem gwardii. Ale ludu nie zadowoliło to; pragnąc zabezpieczyć się od dalszych gwałtów, uzbroił się 13 lipca, a 14 lipca — gdy się rozeszła wieść o tym, że działa Bastylii grożą przedmieściu St. Antoine, a z St. Denis zbliżają się świeże wojska — połączył się z gwardią francuską i zburzył znienawidzony zamek-więzienie. „Zdrada" duchowieństwa i gwardii — to dwa decydujące momenty rewolucji francuskiej.

Widzimy więc, że masa reakcyjna — szlachta, duchowieństwo i armia — była w przeddzień rewolucji rozdwojona. Na jedną jej część nie można było liczyć, druga — przeszła otwarcie na stronę nieprzyjaciela. Jedna — nieprzejednanie reakcyjna, a jednak wroga absolutyzmowi, uporczywie domagała się reform w dziedzinie gospodarki finansowej; druga — „oświecona", ale za to głęboko uwięzła w brakach i nadużyciach panującego systemu, które stały się koniecznymi warunkami jej bytu, czuła, że wszelka reforma gospodarki finansowej byłaby wyrokiem jej śmierci. Jedna część feudałów mocno obstawała przy swoich przywilejach, nie zbywało jej przy tym energii i odwagi, ale ciemna, nieokrzesana, niezdolna była rzą-

dzić państwem; druga — miała więcej wykształcenia, rozumiała potrzeby państwa, ale stała się zbyt gnuśną i pozbawioną charakteru. Jedna grupa była słaba, bojaźliwa i gotowa do wszelkiej ugody, druga — dumna i skłonna do gwałtów. Wszystkie te sprzeczne żywioły walczyły ze sobą zażarcie, oskarżając się nawzajem o to, że sprawy już tak daleko zaszły. A dwór, straciwszy wszelką samodzielność, poddawał się wpływowi to jednej, to drugiej grupy. Dziś oburzał lud srogością i gwałtami, jutro wywoływał ogólną pogardę swoim tchórzostwem. W takim to stanie znajdowały się klasy panujące Francji w pierwszej fazie rewolucji.

IV

ARYSTOKRACJA URZĘDNICZA

Oddzielne stanowisko — pośrednie między obydwoma pierwszymi stanami a stanem trzecim — zajmowały organa zarządu państwowego.

W skład ich wchodziły również organa dawnego rządu feudalnego, które już utraciły swoje istotne funkcje, ale zatrzymały jeszcze połączone z nimi dochody. Urzędy te były jednym z najdogodniejszych środków wyzyskiwania państwa przez szlachtę feudalną i dlatego nie znoszono ich, pomimo iż stawały się z biegiem czasu zbyteczne. Przeciwnie, liczba właśnie najmniej potrzebnych, ale za to najbardziej intratnych została jeszcze powiększona w ciągu XVIII w.

Ale obok tych organów niepotrzebnych trzeba było dla wykonywania funkcji sądowych i policyjnych oraz dla poboru podatków powołać nowe, bardziej dostosowane do zmienionych wymagań czasu. Powstawały więc w coraz to większej ilości urzędy, na które sam król wydawał nominacje. Początkowo nowi urzędnicy otrzymywali od króla tylko nieznaczne wynagrodzenie, często jednak musieli się zupełnie bez niego obchodzić, poprzestając na tych „dobrowolnych datkach", którymi ludność musiała opłacać ich usługi. W miarę jak rosły wpływy urzędników, wzrastały i ich dochody. W takich warunkach wiecznie potrzebującemu pieniędzy królowi przyszło

na myśl nie rozdawać, lecz po prostu sprzedawać urzędy, dające tak wielki dochód. Zwyczaj ten przyjął się we Francji już w wieku XV i szybko zdobył sobie prawo obywatelstwa jako jeden z głównych środków zdobywania przez króla pieniędzy. Wskutek tego ilość urzędów państwowych zaczęła szybko wzrastać.

Nie tylko starsi cechów i innych korporacji, ale nawet majstrzy rzemieślniczy zostali zamienieni w urzędników państwowych, którzy musieli płacić za swoje stanowiska, jeżeli cech, do którego należeli, nie był dość bogaty, aby kupić sobie samodzielność. Miasta również utraciły swój samorząd i jeżeli go na nowo nie nabywały za grube pieniądze, to urzędy miejskie zamieniano w państwowe, co naturalnie odbijało się na ludności, z której nowi urzędnicy zdzierali po prostu skórę. Ale i tego było mało; aby ugasić wieczne pragnienie złota u królów francuskich, wymyślano najbardziej niedorzeczne urzędy, a kupujący je nabywali oczywiście prawo życia na koszt ludności.

Tak na przykład w ostatnich latach panowania Ludwika XVI utworzone zostały następujące nowe urzędy: dozorcy peruk, nadzorcy świń i prosiąt, rachmistrze siana, kontrolerzy układania drzew (Conseillers du roi contrôleurs aux empilements des bois), kontrolerzy świeżego masła, kontrolerzy solonego itd. W okresie od 1701 do 1715 r. król pobrał ze sprzedaży nowych urzędów 542 mln liwrów. Na osobę kupującego nie zwracano przy tym najmniejszej uwagi. Toteż kasjerzy w armii kupowali sobie urzędy swoich własnych kontrolerów i tym sposobem uwalniali się od wszelkiej kontroli.

Nietrudno zrozumieć, że wielkie państwo współczesne nie może być długo rządzone przez takich urzędników. Obok nich więc powstała nowa warstwa

urzędnicza, zjawiła się, całkowicie zależna od króla, ściśle scentralizowana biurokracja, która coraz to bardziej czyniła niepotrzebnymi nie tylko funkcje dawnych organów feudalnych, ale i nowo powstałe kupowane urzędy, jakkolwiek liczba tych ostatnich i połączony z nimi wyzysk ludności bynajmniej się nie zmniejszyły.

Z urzędników, którzy za pieniądze nabywali swoje stanowiska, wyrosła nowa arystokracja. Ważniejsze bowiem z urzędów dawały prawo do zwolnienia od podatków i prawo do wielu innych przywilejów, mogły też być za określoną cenę zamieniane w urzędy dziedziczne; poza tym były one połączone z tytułem szlacheckim. Ich przedstawiciele tworzyli nową szlachtę, „szlachtę mundurową" (noblesse de robe), obok starej szlachty feudalnej, „szlachty szpady" (noblesse de l'épée). Będąc ekonomicznie niezależną od króla, nowa szlachta okazywała jednak wobec niego wielką uległość, częstokroć nawet większą niż stara.

Na czele arystokracji urzędniczej stały wyższe instytucje sądowe — parlamenty.

Nowy, kapitalistyczny sposób wytwórczości podniósł wagę i znaczenie klasy prawników. W miarę tego jak wytwórczość towarowa stawała się panującą formą wytwórczości, umowy pomiędzy poszczególnymi właścicielami towarów, poza tym, że były coraz to liczniejsze, nabierały charakteru bardziej skomplikowanego; również stosunki powstałe na gruncie tych umów stawały się coraz bardziej sporne. Prawo feudalne i sądy feudalne czuły się tu zupełnie bezradne. Nowe stosunki wymagały i nowego prawa, które początkowo próbowano oprzeć na prawie kanonicznym, ale wkrótce przekonano się, że lepiej do tego się nadaje prawo rzymskie. Nowe stosunki wymagały również i ludzi, którzy by całe swe życie poświęcili pra-

wu i potrafili się orientować we wszystkich jego zawiłych subtelnościach. Szybko wyrosła klasa prawników — sędziów i adwokatów — tak bardzo potrzebnych w nowym społeczeństwie i cieszących się przeto ogólnym poważaniem. Bo niechby tylko przerwali swoje czynności, a powstałby wielki zamęt w handlu i w całym kraju.

Łatwo pojąć, że wyższe instytucje sądowe posiadały ogromne znaczenie. Znaczenie to wzrastało jeszcze bardziej dzięki ich szczególnej roli politycznej. Królowie francuscy widzieli w parlamentach — opierających się na stanie trzecim i działających na gruncie sprzyjającego absolutyzmowi prawa rzymskiego — doskonały środek do przełamywania oporu szlachty feudalnej; dlatego też w ciągu XIV i XV w. coraz bardziej rozszerzali zakres ich kompetencji i władzy. Ale możność kupowania miejsc parlamentarnych, zaprowadzona w wieku XVI, i ekonomiczna niezależność parlamentu, którego znaczenie w życiu społecznym i politycznym ciągle wzrastało, oraz to, że jego członkowie wciąż się wzbogacali dzięki stale rosnącym, dozwolonym zresztą, dochodom — wszystko to doprowadziło do takiego rezultatu, że parlamenty, chociaż swą władzę i siłę zdobyły w służbie absolutyzmu, ośmieliły się wreszcie użyć jej w obronie swej samodzielności i swoich przywilejów, przeciwko temuż absolutyzmowi. A uczyniły to właśnie w tym czasie, kiedy zniknęły wszystkie inne siły, które przedtem ograniczały absolutyzm, kiedy absolutyzm zdawał się być wszechpotężny.

Wszystkie te okoliczności jednak nie wyjaśniają jeszcze tej ogromnej roli, którą odgrywał największy i najstarszy z parlamentów — parlament paryski — w wiekach XVI i XVIII. Nie można tego również wytłumaczyć ani jego starością, ani tym, że znajdował

się w stolicy. Tutaj decydowała raczej ta okoliczność, że parlament ten był parlamentem właśnie Paryża, tego samego Paryża, który już w epoce wojen hugenockich dowiódł, iż żaden król nie może go bezkarnie lekceważyć. Potęga owego parlamentu zależała w znacznej mierze od siły opinii publicznej Paryża. Ale właśnie dlatego parlament ten musiał czynić ustępstwa na rzecz opinii publicznej, musiał postępować tak, aby nie stracić przychylności Paryża. Doprowadziło to do bardzo ciekawych rezultatów.

Rzecz zrozumiała, że urzędnicy, bezpośrednio od króla niezależni, nie tylko okazywali dużą samodzielność, ale w ogóle przy wykonywaniu swych obowiązków służbowych kierowali się wyłącznie swoimi interesami osobistymi. Nie miała na nich żadnego wpływu ani obawa dymisji, ani nadzieja awansu, ani myśl o wymaganiach i potrzebach tej sprawy, której służyć powinni. Nie poprzestając na regularnych dochodach prawnie dozwolonych, starali się, nadużywając swojego stanowiska urzędowego i władzy, powiększać je, gdzie tylko to było możliwe. Poborcy podatkowi oszukiwali skarb, przyjmując od bogatych datki i nie ściągając z nich za to podatków, a niedobór, jaki powstał tym sposobem, wyciskali bezlitośnie z kieszeni ubogich. Sprzedajny był sąd, sprzedajna policja, nieporządek, zamęt, łapownictwo panowały we wszystkich dziedzinach zarządu państwowego.

Członkowie parlamentów stali na czele arystokracji urzędniczej i zepsucie, panujące wszędzie, szczególnie głęboko w nich się wżarło. Niegodziwość, łapownictwo, chciwość rozkwitły w parlamentach takim samym wspaniałym kwiatem, jak pycha arystokratyczna i fanatyczna nienawiść do wszelkiej nowości, zagrażającej ich przywilejom. Wszystkie te właściwości wywołały w wieku XVIII szczególną niechęć do nich

u wszystkich uczciwych, postępowych żywiołów społeczeństwa i ściągnęły na nie cały szereg ciężkich zarzutów. Wolter napadał energicznie na „morderców Calasa [1], Laborre'a i Lally'ego [2]", a ogłoszone w roku 1774 „Pamiętniki" Beaumarchais bez litości odsłoniły obraz głębokiego zepsucia przenikającego całe ówczesne sądownictwo.

Ale aby mieć możność zachowania tego zepsucia i swoich przywilejów, parlament paryski, kierujący innymi parlamentami w kraju, nie mógł stracić życzliwości Paryża, musiał więc stawać w obronie tego wszystkiego, co w owym czasie wzburzało umysły ludności paryskiej i budziło jej sympatię. Razem z Paryżanami i zbuntowaną częścią arystokracji rzucili się więc członkowie parlamentu na barykady w czasie Frondy roku 1648, razem z Paryżanami powstawał parlament paryski przeciwko „despotyzmowi" ministrów Ludwika XVI i domagał się „prawa samostanowienia" i „wolności narodu", przy czym uważał naturalnie siebie za jedynego godnego przedstawiciela narodu. W rzędzie licznych osobliwych zjawisk występujących w przedrewolucyjnej Francji niepoślednie miejsce zajmują również parlamenty, broniące praw ludu dlatego, aby zachować swoje przywileje, które im dawały możność wyzyskiwania tegoż ludu.

---

1 Jean Calas, kupiec protestancki z Tuluzy, którego syn wpadłszy w melancholię powiesił się, został niesłusznie oskarżony o morderstwo i stracony w roku 1762. Obwiniano go, że zamordował syna, nie chcąc dopuścić do przejścia jego na katolicyzm. Za staraniem Woltera zarządzono w roku 1765 rewizję procesu i dowiedziono niewinności Jean Calasa. (Przyp. tłum.).

2 Lally-Tolendal, gubernator Indii francuskich, zmuszony poddać Anglikom w roku 1761 Pondichéry, został ścięty w roku 1765 jako zdrajca. W 1778 roku wyrok skasowano głównie za staraniem Woltera.

V

BURZENIE SIĘ UPRZYWILEJOWANYCH

Walka parlamentów, jak również przedstawicieli arystokracji urzędniczej, z silnie scentralizowaną, despotyczną władzą państwową, ciągle wzrastając zamieniała się w końcu w walkę wszystkich stanów uprzywilejowanych przeciwko absolutnej władzy królewskiej. Walka ta toczyła się nie tylko w postaci intryg dworskich — o których naród na ogół nigdy nic nie wie, bez względu na to, jakie by nie były wielkie wtedy starcia — lecz wciągano do niej i szerokie warstwy ludności, ponieważ uczestnicy tej walki odwoływali się do swoich współbraci należących do tego samego stanu.

Największym z takich ruchów była — wspomniana już w poprzednim rozdziale — Fronda. Miała ona miejsce w pierwszej połowie XVII w., kiedy szlachta posiadała jeszcze dużą siłę i samowiedzę. Podobny ruch zrodził się w ostatnim ćwierćwieczu XVIII w. Ruch z roku 1648 doprowadził do dalszego wzmocnienia absolutyzmu. Ruch zaś wszczęty w roku 1787 skończył się zwycięstwem stanu trzeciego, stał się pierwszym sygnałem wielkiej rewolucji.

Mówiliśmy już w rozdziale II o chwiejnym charakterze Ludwika XVI.

Ale jeśli Ludwik XVI jest klasycznym przykładem „rozdwojenia jaźni" monarchii absolutnej wieku XVIII, to obydwie strony tej monarchii w czasie jego rządów znalazły, każda z osobna, swoich klasycznych przedstawicieli w osobie Turgota i Calonne'a. Pierwszy — będący równie głębokim myślicielem, jak i człowiekiem czynu, usiłował, gdy został ministrem, nagiąć władzę państwową do tego, by rzeczywiście służyła wymaganiom rozwoju ekonomicznego: starał się więc usunąć z jego drogi wszelkie przeszkody i doprowadzić do skutku wszystko to, co teoretycy uznali za konieczne do podniesienia państwa i społeczeństwa. Nie chciał z organów administracji państwowej czynić narzędzia wyzysku państwa na korzyść arystokracji dworskiej. Zniósł pańszczyznę, cła wewnętrzne i cechy, uwolnił przemysł od ucisku regulaminów. Chciał szlachtę i duchowieństwo opodatkować na równi ze stanem trzecim i poddać wydatkowanie funduszów państwowych pod kontrolę przedstawicieli stanowych. To samo było już strasznym naruszeniem „świętych praw". Zgraja uprzywilejowanych wyzyskiwaczy, pozostająca pod dowództwem Marii Antoniny, powstała przeciwko ministrowi-reformatorowi i Turgot w roku 1776 upadł.

Po całym szeregu eksperymentów i prób załatwienia sprawy tak, aby wilk był syty i koza cała, król powołał w końcu do zarządzania krajem Calonne'a (r. 1783). Był to człowiek całkowicie odpowiadający gustom królowej; powierzchowny, ale sprytny i bezczelny aferzysta, kierował się tylko jedną zasadą: żeby drogą prostą albo krzywą zaspokajać wciąż wzrastające żądania nienasyconej arystokracji dworskiej. Poświęcał na to nie tylko bieżące, lecz i spodziewane dochody państwowe, potrafił bowiem nie tylko wyszastać gotówkę, ale i wyczerpać kredyt państwa. Po-

życzka goniła pożyczkę. W ciągu trzech lat swoich rządów Calonne potrafił wymotać dla kasy państwowej 650 mln liwrów (szczegóły zob. u Louis Blanca, I, 233), co w ówczesnych warunkach stanowiło olbrzymią sumę; a prawie wszystkie te pieniądze dostały się dworowi — królowi i królowej oraz ich ulubieńcom. „Gdy zobaczyłem, że wszyscy wyciągają ręce, wówczas i ja także nadstawiłem kapelusza", mówił pewien książę krwi królewskiej, opowiadając o wesołych dniach epoki przedrewolucyjnej. I w rzeczy samej, dwór tonął w zbytku; ani jeden głos się nie odezwał, aby przestrzec przed tą nierozumną rozrzutnością i wskazać, dokąd ona może zaprowadzić. Ludwik XVI był bardzo zadowolony ze swojego ministra finansów, który śmiało rozpoczął swoją działalność, każąc królowi zapłacić swoje długi w sumie 230 tys. liwrów. Przy dworze wszyscy się dziwili, że z taką szybkością i łatwością udało się „wielkiemu człowiekowi" rozwiązać kwestię socjalną [1].

Rozrzutność i niedbalstwo dworu zbliżały, naturalnie, chwilę ostatecznego upadku całego systemu. Po trzech latach nierozumnej gospodarki skończyło się powodzenie Calonne'a; roczny deficyt skarbu państwa wzrósł do 140 mln liwrów. Wreszcie nawet Calonne zmuszony był przyznać, że grożącego krajowi rychłego bankructwa nie da się odroczyć pożyczkami, lecz trzeba podnieść dochody państwa i obniżyć jego wydatki, a to było możliwe jedynie kosztem stanów uprzywilejowanych. Z ludu nie można było już więcej wycisnąć.

---

[1] Kiedy pierwsza pożyczka, zaciągnięta przez Calonne'a, była pokryta dzięki jego przesadnym obietnicom, pewna osoba z najwyższego towarzystwa wyraziła się tak: „Naturalnie wiedziałem, że Calonne ocali państwo, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, iż uda mu się to tak szybko".

Kiedy Calonne powiedział to notablom — zwołanym przez niego w lutym 1787 r. — w odpowiedzi na jego słowa z szeregów „uprzywilejowanych" odezwał się krzyk oburzenia. Wywołała go nie bezczelność, z jaką Calonne dotychczas prowadził gospodarkę państwa, lecz ta okoliczność, że jego bezczelna gospodarka musiała się skończyć, gdyż dalsze jej prowadzenie stało się niemożliwe.

Calonne upadł, ale ponieważ jego następcy byli zmuszeni prowadzić politykę nakładania podatków na stany uprzywilejowane, stany te doszły do przekonania, że władza królewska już nie zdoła im zapewnić wyzyskiwania Francji w dotychczasowych rozmiarach, więc powstały przeciwko tejże władzy. Chociaż takie postępowanie wydaje się nieprawdopodobne, jednak rzeczywiście szlachta, duchowieństwo, parlament — i w ogóle wszyscy uprzywilejowani, których pozycja została już zupełnie zachwiana i których jedyną jeszcze podporą była władza królewska, połączyli się teraz w celu zburzenia tej właśnie swojej podpory. Oto do jakiego zaślepienia może klasę przeżywającą się doprowadzić chciwość: znajdując się przed samym upadkiem, czyni ona wszelkie możliwe wysiłki, aby ten upadek przyspieszyć.

Stany uprzywilejowane nie miały najmniejszego pojęcia o tym, do jakiego stopnia zmienił się układ sił społecznych; zdawało im się, że panują wciąż jeszcze takie same stosunki, jak w owym czasie, kiedy z powodzeniem opierały się królowi i stanowi trzeciemu, i dlatego burzliwie domagały się zwołania Stanów Generalnych na wzór roku 1614. Zapominając, że jedynym ich oparciem jest władza królewska, raptem postanowiły o własnych siłach bronić swoich przywilejów. Właśnie w tym momencie, kiedy „szczy-

ty" społeczne powinny były jak najściślej zespolić się w obliczu grożącego im poważnego niebezpieczeństwa, w łonie ich rozgrywały się spory o podział łupów!

Zaślepione wściekłością stanęły faktycznie na pozycji rewolucyjnej. W maju roku 1788 wszystkie parlamenty zawiesiły swoją działalność: duchowieństwo odmówiło dokonywania jakichkolwiek wpłat do kasy państwowej do czasu, dopóki nie zostaną zwołane Stany Generalne, szlachta w poszczególnych prowincjach zbroiła się, a w Delfinacie, Bretanii, Prowansji, Flandrii i Langwedocji doszło do poważnych rozruchów.

Nawet ta okoliczność, że stan trzeci coraz to bardziej jednoczył się z tym ruchem i przyłączał swój głos z żądaniem zwołania Stanów Generalnych, nie pomogła klasom uprzywilejowanym do wyciągnięcia właściwych wniosków; władza królewska dowiodła, że już nie potrafi być wyłącznie narzędziem wyzysku, a więc władza królewska zamieniła się we wroga i zburzenie monarchii absolutnej stało się zadaniem stanów uprzywilejowanych. Stan średni zbyt lekceważono, aby się go obawiać. Ba, komu też mogło strzelić do głowy, żeby się bać głupiego wieśniaka, szewców, krawców i gromadki adwokatów?

By walczyć z zespolonym naporem wszystkich stanów, władza królewska nie miała dość siły. Zmuszona więc była udzielić swej zgody na zwołanie Stanów Generalnych, które zaczęły obradować dnia 5 maja 1789 r. Moment ten zwykle uważa się za początek rewolucji. Ale trzeba zaznaczyć, że powstanie przeciwko absolutnej władzy królewskiej rozpoczęło się już wcześniej, właśnie stany uprzywilejowane dały pierwszą pobudkę do niego i wywołały ruch, który się zakończył ich zgubą; właśnie one wymogły zwoła-

nie tego zgromadzenia, które miało przyspieszyć ich upadek.

Wprawdzie walczący ze sobą bracia — arystokracja i władza królewska — znów się połączyli, stany uprzywilejowane znów się skupiły wokół monarchy, gdy spostrzegły wrogie nastroje ludu i deputowanych stanu trzeciego. Ale już było — za późno.

VI

BURŻUAZJA

Podobnie jak dwa pierwsze stany, ulegał rozdwojeniu również i stan trzeci. W ostatnich czasach zwykło się utożsamiać ze stanem trzecim klasę kapitalistów i przeciwstawiać jej proletariat jako stan czwarty [1]. Pomijając już to, że współczesny proletariat nie stanowi bynajmniej stanu, lecz klasę, tj. taką warstwę społeczną, która od innych warstw społeczeństwa różni się swoim położeniem ekonomicznym, a nie stanowiskiem prawnym, o proletariacie, jako o s t a n i e czwartym, nie może być mowy choćby z tego względu, że proletariat istniał w łonie stanu trzeciego. Stan trzeci

[1] Pojęcie: stan czwarty, spotykamy już w okresie rewolucji, ale bardzo rzadko używa się tego terminu dla określenia klasy robotniczej. Jeden z moich przyjaciół udzielił mi następujących ciekawych danych z niedostępnej dla mnie rosyjskiej książki Karajewa: „Włościanie i kwestia włościańska we Francji w ostatniej ćwierci wieku XVIII" (Moskwa 1879, str. 347). Już 25 kwietnia 1789 r. wyszła broszura Dufourny de Villiersa „Cahier du quatrième ordre, celui des pauvres journaliers, des infirmes, des indigents etc., l'ordre des infortunés". (Żądania i zażalenia stanu czwartego, stanu ubogich najemników, kalek, żebraków itd., stanu wydziedziczonych). Zwykle przez stan czwarty rozumie się włościan. W pamflecie Noillaca: „Le plus fort des pamflets. L'ordre des paysans aux États généraux", który wyszedł dnia 26 lutego 1789 roku, na str. 9 czytamy: „Zapożyczmy od Szwedów system czterech stanów". W broszurze Varsouta „Lettre d'un paysan à son curé sur une nouvelle manière de tenir les États généraux" (Cartrouville 1789) na str. 7 znajdujemy następujące słowa: „Słyszałem, że w pewnym kraju północnym ... stan włościański jest dopuszczony do udziału w zgromadzeniu stanów". Niektóre broszury mówiąc o „stanie czwartym", rozumieją pod tym pojęciem zupełnie coś innego. Jedna broszura określa przez stan czwarty kupców, inna urzędników itd.

obejmował całą ludność nie wchodzącą w skład dwóch pierwszych stanów; do niego należeli nie tylko kapitaliści, ale i rzemieślnicy, włościanie, proletariusze. Łatwo więc sobie wyobrazić, jaką pstrą masę tworzył. Toteż w łonie stanu trzeciego występowały najostrzejsze przeciwieństwa, najróżnorodniejsze cele, najrozmaitsze środki walki. O jakiejkolwiek więc zgodnej walce klasowej z jego strony nie mogło być w ogóle mowy.

Nawet ta klasa, którą w naszych czasach nazywa się stanem trzecim — klasa kapitalistów — nie stanowiła bynajmniej ściśle zespolonej, jednorodnej masy.

Na czele klasy kapitalistów stali wielcy finansiści. Jako główni wierzyciele państwa, mieli oni dostateczne powody do tego, by żądać reform, które by zapobiegły jego bankructwu. Domagali się więc powiększenia dochodów państwa i zmniejszenia jego wydatków. Ale przeprowadzić to chcieli w myśl znanej zasady — żeby wilk był syty i owca cała. Panowie finansiści bowiem mieli również wszelkie powody po temu, by sprzeciwiać się jakiejkolwiek gruntownej reformie finansowej i społecznej.

Większość z nich posiadała ogromne majątki feudalne i tytuły szlacheckie i bynajmniej nie pragnęła zrzec się połączonych z tym przywilejów i dochodów. Oprócz tego finansiści byli zainteresowani w zachowaniu przywilejów szlacheckich, gdyż jak każdy wierzyciel byli zainteresowani w tym, żeby ich dłużnik nie został zrujnowany. Wszak pożyczali oni nie tylko królowi, ale całej zasłużonej arystokracji. Jakby nie były przekonywające argumenty ekonomistów, dowodzących, że dochody z majątków ziemskich powiększą się po ich przejściu od na wpół feudalnych sposobów gospodarki do systemu czysto kapitalistycznego, to

jednak zrealizowanie tego wymagało pewnych kapitałów potrzebnych na zaprowadzenie odpowiednich urządzeń, na kupno inwentarza, narzędzia itd. Kapitał zaś taki posiadało tylko bardzo niewielu ze szlachty. Zniesienie powinności feudalnych groziło większości z nich całkowitą ruiną, do której ich wierzyciele nie mieli żadnego powodu się przyczyniać. Na płaszczyźnie towarzyskiej, jak już widzieliśmy, szlachta i finansiści również coraz to bardziej zbliżali się do siebie. Oprócz tego każda reforma finansowa musiała doprowadzić do zastąpienia zwyczaju sprzedawania podatków przez system państwowego poboru podatków. Cały szereg podatków będących głównym źródłem dochodów państwowych, jak: podatek od soli (gabelle), podatek od trunków (aides), cła, monopol tytoniowy — odsprzedawano. W ostatnich latach przed rewolucją nabywcy tychże wypłacali państwu 166 mln liwrów rocznie, a wyciskali z ludności sumę dwukrotnie większą. Kupno podatków było najdogodniejszym środkiem wyzyskiwania ludu; czyż panowie finansiści mogli się dobrowolnie wyrzec tego zysku? Absolutnie nie można się było spodziewać po nich, że będą obstawać za zniesieniem dawnego systemu podatkowego.

Nie w ich interesie leżało również, żeby w budżecie państwowym nie było wreszcie stałego deficytu, a w związku z tym ciągłego poszukiwania pieniędzy. Przy realizacji pożyczek państwowych finansiści zatrzymywali dla siebie tylko pewną ilość obligacji, większą zaś ich część potrafili za wysoką cenę wsunąć „publiczności", tj. drobnym i średnim kapitalistom — rentierom. Tym sposobem przy zawieraniu każdej nowej pożyczki finansjera bardzo zręcznie przerzucała r y z y k o tego przedsięwzięcia na cudze barki; przy tym z y s k i, jakie z tego ciągnęła, czy to bezpośrednio, czy pośrednio, były olbrzymie, ponieważ jedno-

cześnie wyzyskiwała i państwo, i społeczeństwo. Każda nowa pożyczka była dla wielu finansistów obfitym żniwem. A zatem pojawienie się budżetów bez deficytu, przekreślające potrzebę zawierania nowych pożyczek, byłoby dla nich bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne.

Nic dziwnego więc, że w tej sytuacji sympatie wyższych sfer burżuazji, jako klasy, były po stronie starego porządku, po stronie państwa opartego na przywilejach. Wprawdzie i finansiści domagali się reform, ale któż ich się nie domagał przed rewolucją. Najbardziej ograniczony arystokrata dochodził do przekonania, że dotychczasowy porządek rzeczy nie może się dłużej utrzymać i że reformy są nieuniknione; niezadowolenie z istniejącego stanu było ogólne. Ale każda klasa pragnęła takich „reform", które by jej przyniosły jak największą korzyść i nie wymagały od niej żadnych ofiar.

Jednocześnie wielcy finansiści, zupełnie wbrew swojej woli, występowali w roli agitatorów politycznych, wydatnie przyczyniając się do przeobrażenia spokojnych obywateli w polityków i marzycieli o wolności. Za ich pośrednictwem obligacje państwowe w coraz to większej ilości dostawały się do rąk ludu i coraz szerzej były wśród niego rozpowszechniane. Finansiści stali się kanałem, którym — wskutek coraz częściej następujących po sobie pożyczek — napływały do dworu drobne i średnie kapitały, ażeby tam zniknąć w szerokich kieszeniach dworaków, nie napełniając ich jednak nigdy, ponieważ były dziurawe. Tym sposobem drobni i średni kapitaliści coraz bardziej zamieniali się w wierzycieli państwowych. Ten rodzaj burżuazji na ogół nie interesuje się formą rządu. Filister zapatruje się na politykę jako na nieużyteczne zajęcie, które nic mu dać nie może, a w najgorszym wypadku po-

chłania jeszcze czas i pieniądze. Kieruje się zasadą, że każdy powinien pilnować swego nosa, a rządy kraju należy pozostawić królowi. Przy tym w państwie absolutnym, o niezwykle rozwiniętym systemie szpiegostwa policyjnego — jak to było we Francji przedrewolucyjnej, gdzie zajmowanie się obywateli polityką uchodziło za zbrodnię — wstręt filistra do wtrącania się do tego, co dzieje się za jego progiem, był jeszcze silniejszy.

Ale wszystko to uległo zmianie, odkąd filister stał się wierzycielem państwa i odkąd zaczęto rozprawiać o możliwości bankructwa tegoż. Teraz polityka przestała być pustym zajęciem, nabrała dużej wagi. Drobny i średni mieszczanin zaczął nagle interesować się wszelkimi sprawami rządów państwowych. Nie potrzeba było zbyt wielkiego rozumu, by pojąć, że przywileje dwóch pierwszych stanów są główną przyczyną ciężkiego stanu finansów w kraju, ponieważ przedstawiciele tych stanów pobierają lwią część dochodów państwa, nie ponosząc przy tym na jego rzecz prawie żadnych ciężarów. Mieszczanin więc zmienił się teraz w zagorzałego opozycjonistę, napadającego na przywileje i domagającego się wolności i równości.

Napadał on jednak na władzę, opartą na przywilejach, nie tylko jako wierzyciel państwa, lecz również jako kupiec i przemysłowiec.

Na skutek tego, że wyższe stanowiska w armii i flocie oddawano wyłącznie szlachcie, zwyrodniałej fizycznie i moralnie, wojenna potęga Francji stopniowo upadała. Na przestrzeni całego XVIII w. Francja nie przeprowadziła prawie żadnej wojny, która by się dla niej nie skończyła niekorzystnym traktatem handlowym i stratą cennych kolonii; dość wskazać na pokój utrechcki (1718), akwizgrański (1748), paryski (1763) i wersalski (1783). A szczęśliwa polityka ze-

wnętrzna jest najważniejszym warunkiem rozkwitu handlu zagranicznego. Handel wewnętrzny był również skrępowany wskutek dawnych ograniczeń feudalnych. Niektóre prowincje stanowiły jakby samodzielne państwa w państwie; oddzielone od innych części kraju granicą celną, rządziły się własnym prawem, miały odrębną administrację. Prawo handlu i inne przywileje feudałów, myta mostowe i drogowe itp. były dla handlu wewnętrznego strasznym ciężarem. Cena towarów, które sprowadzano do Francji z Japonii lub Chin, pomimo że przywożono je zza dalekich burzliwych mórz, rojących się od korsarzy, nie wzrastała na ogół więcej, jak trzykrotnie lub czterokrotnie, gdy tymczasem cena wina, przywożonego z Orleanu do Normandii, stawała się wyższa — wskutek różnych myt, pobieranych z niego w drodze przynajmniej dwadzieścia razy[1].

Właśnie handel winem, jedna z najważniejszych gałęzi handlu francuskiego, był szczególnie mocno skrępowany różnego rodzaju przepisami i obciążony nadmierną ilością opłat. Na przykład właściciele winnic okręgu Bordeaux mieli prawo zabronić sprzedawania w tym mieście każdego wina, które nie pochodziło z ich winnic. Tym sposobem obfitujące w wino okolice Languedoc, Périgord, Agenvis, Crécy, których rzeki przepływały tuż pod murami Bordeaux, były — na korzyść właścicieli winnic bordowskich — pozbawione możności zbywania tam swoich produktów.

Do tego jeszcze drogi w całym kraju znajdowały się w stanie jak najbardziej opłakanym. Nie było skąd wziąć pieniędzy na ich naprawę, a te roboty, które nie mogły być wykonane szarwarkiem przez włościan, pozostawały w ogóle nie wykonane.

Ażeby mógł rozkwitnąć handel, należało znieść

[1] Louis Blanc: Histoire de la Révolution, t. III, rozdz. 3, str. 156.

przywileje szlachty, zreformować armię i flotę, złamać partykularyzm pojedynczych prowincji, zlikwidować różnego rodzaju myta, zaprowadzone wewnątrz kraju przez koronę i feudałów. Słowem, interesy handlu wymagały „wolności i równości".

Jednak nie wszyscy kupcy trzymali się tej dewizy.

W epoce przedrewolucyjnej ulubiony przez królów sposób gromadzenia pieniędzy polegał na tym, że monopolizowali jakąś gałąź przemysłu albo handlu, a potem monopol ten sprzedawali nielicznym szczęśliwcom, albo też dzielili się z nimi dochodem, jaki dawał ten monopol, podwójnie wyzyskując ludność. Największymi monopolami były wielkie kompanie prowadzące handel z krajami zamorskimi. Ale obok nich istniały w poszczególnych miastach i inne monopole handlowe pewnych korporacji, zorganizowanych na podobieństwo cechów. Do takich zamkniętych korporacji, które przeżyły nawet reformy Turgota, należał na przykład cech kupców winnych w Paryżu.

Naturalnie, nie ma się czemu dziwić, że ci uprzywilejowani pomimo swej przynależności do stanu trzeciego zaliczali się do gorliwych zwolenników starego porządku, opartego na przywilejach.

Wyosobnienie poszczególnych prowincji było również na rękę niektórym kapitalistom. Ograniczenie handlu zbożem między prowincjami — mianowicie zakaz dowozu zboża z jednej prowincji do drugiej bez specjalnego na to pozwolenia, które na ogół niełatwo uzyskiwano — utrudniało przywóz zboża z okolic bardziej urodzajnych do nieurodzajnych i stawało się potężnym narzędziem spekulacji zbożowej, przyjmującej często rozmiary wprost nieprawdopodobne. Był to jeden z najbardziej skutecznych sposobów wyzyskiwania mas ludowych. Podobnie jak dziś cła protekcyjne sprzyjają powstawaniu syndykatów i karteli,

tak w swoim czasie ograniczenie handlu zbożem wewnątrz kraju sprzyjało powstawaniu towarzystw do zakupu zboża, spekulujących na cenach głodowych (pacte de famine). Na czele spekulantów stał sam król [1], lichwiarskie operacje zbożem były jednym z największych źródeł jego dochodów. Rozumie się samo przez się, że arcychrześcijański król, tak samo jak jego wspólnicy, absolutnie nie miał ochoty do zniesienia ograniczeń handlu zbożowego.

Wraz z handlem mocnemu skrępowaniu podlegał również przemysł. I to bynajmniej nie dlatego, że rząd dążył do powstrzymania jego rozwoju; przeciwnie, rząd bardzo mu sprzyjał. Kwitnący kapitalistyczny przemysł uchodził za jedno z głównych źródeł bogactwa narodowego, ze wszech miar zasługujące na zachętę. Ponieważ rzemiosło cechowe wszelkimi siłami starało się skrępować i ograniczyć swojego niewygodnego konkurenta — kapitalistyczny przemysł — królowie wzięli go pod swą opiekę. Wprawdzie nigdy nie przychodziło im do głowy, by rozwiązać cechy i w ten radykalny sposób ostatecznie usunąć przeszkodę, stojącą na drodze rozwoju przemysłu kapitalistycznego — wszak wymknęłoby się wtedy z ich rąk, jak to jeszcze poniżej zobaczymy, znaczne źródło dochodów — ale dawali manufakturom patenty, zwalniające je od wszelkich opłat i ograniczeń feudalnych i cechowych. Manufaktura, która otrzymała taki przywilej, nosiła tytuł „królewskiej". Troska rządu o rozkwit przemysłu szła nawet jeszcze dalej. Ażeby uzyskać jak najwyższej jakości towary, rząd zaznajamiał przedsiębiorców z ulepszonymi sposobami produkcji i nakazywał im wprowadzenie tych sposobów w specjalnych regulaminach.

[1] Ludwik XV był głównym akcjonariuszem towarzystw do zakupu zboża. W spisie urzędów przy jego dworze figuruje osobny kasjer do „zbożowych spekulacji J. Król. Mości".

W pierwszych stadiach rozwoju manufaktury takie środki mogły być jeszcze pożyteczne, ale sprawa przybrała zupełnie inny obrót, gdy w drugiej połowie XVIII w. przemysł kapitalistyczny zaczął się szybko rozrastać i przeszedł na wyższy stopień rozwoju. Ta okoliczność, że tylko przywileje królewskie zabezpieczały go od wszelkiego rodzaju ataków ze strony rzemieślników cechowych, stawała się dlań nader ciężką przeszkodą, utrudniającą niekiedy powstawanie nowych przedsiębiorstw. Ale jeszcze bardziej szkodliwe były regulaminy. Jeśli przedtem zalecały one ulepszone sposoby produkcji, to teraz narzucały metody najbardziej przestarzałe i nieprzydatne. W siódmym dziesięcioleciu XVIII w. nastąpił w Anglii przewrót techniczny, który przekształcił manufakturę w fabrykę i stworzył współczesny wielki przemysł. W manufakturze poszczególne sposoby wytwórczości i narzędzia zmieniały się powoli. Teraz wynalazki następowały jeden po drugim i natychmiast zdobywały sobie w Anglii prawo obywatelstwa. Jeśli Francuzi chcieli z powodzeniem konkurować z Anglikami, powinni byli z taką samą szybkością przyjmować i ich ulepszenia. Zniesienie ograniczeń cechowych i biurokratycznych regulaminów stawało się teraz dla przemysłu kapitalistycznego coraz to bardziej palącą sprawą. To już nie była kwestia zysku, lecz kwestia życia i śmierci. Ale na próżno usiłował Turgot w roku 1771 pójść za wymaganiami czasu. Uprzywilejowani dobrze wiedzieli, że reformy na tym się nie skończą. Przywiedli więc Turgota do upadku i nie dopuścili do urzeczywistnienia jego planów. Trzeba było aż rewolucji, by zerwać więzy krępujące wielki przemysł i nie dające mu się rozwijać.

Niezależnie od tego wszystkiego znaczna część przemysłowców kapitalistycznych była zainteresowana

w zachowaniu starego porządku wraz z feudalnymi przywilejami. Początkowo kapitalistyczny przemysł, podobnie jak handel, służył głównie szlachcie, produkując przedmioty zbytku, po pierwsze dlatego, że brak było jeszcze szerszego rynku wewnętrznego, włościanin bowiem sam wytwarzał wszystkie potrzebne mu produkty, a po drugie dlatego, iż przemysł był protegowany przez króla, był przemysłem nadwornym. Największe manufaktury Francji wytwarzały tkaniny jedwabne, aksamit, kobierce, porcelanę, puder, papier (sto lat temu papier uważano jeszcze za przedmiot zbytku) itp. Przedsiębiorstwa te znajdowały swoich najlepszych odbiorców wśród arystokracji dworskiej, wśród uprzywilejowanych. Ograniczenie zatem dochodów arystokracji musiałoby się mocno odbić na interesach wielu przemysłowców kapitalistycznych. Łatwo więc zrozumieć, że rewolucja została przez nich powitana bez entuzjazmu.

Dość charakterystyczny jest fakt, że kiedy w roku 1793 kontrrewolucja chwyciła za broń, to na czele jej — obok Wandei, najbardziej zacofanej części kraju, w której gospodarka feudalna zachowała się jeszcze w całej pełni — stanęło również najbardziej uprzemysłowione miasto Francji — Lugdun, słynące na cały świat z wyrobu jedwabi. Burzyło się ono zresztą i przedtem. Już w roku 1790 czyniono tam próby powstania pod przewodnictwem duchowieństwa i szlachty. A i później Lugdun pozostawał warownią legitymizmu i katolicyzmu. Nie jedyny to przykład. Kiedy w roku 1795 złamano władzę jakobinów, burżuazja paryska wcale nie ukrywała swoich sympatii rojalistycznych, antyrepublikańskich. Gdyby to zależało tylko od niej, byłaby już wówczas przywróciła monarchię legitymistyczną i zezwoliła wychodźcom arystokratycznym, by powrócili do kraju.

VII

INTELIGENCJA

Wypada nam jeszcze słów kilka powiedzieć o nie omawianej dotąd, a dość ważnej kategorii burżuazji — o inteligencji mieszczańskiej. Kapitalistyczny sposób wytwórczości rozdwoił połączone przedtem w rzemiośle funkcje i stworzył dwie różne kategorie robotników: robotników fizycznych i robotników umysłowych. Rozszerzył bowiem do niesłychanych rozmiarów społeczny podział pracy i wytworzył cały szereg zajęć połączonych z jednostronną pracą umysłową.

Wprawdzie technik, posiadający wykształcenie, prawie nie miał co robić w przemyśle XVIII w., ale konieczność udoskonalenia komunikacji, wywołana wymaganiami nowego sposobu wytwórczości, stawiała już technikowi poważne zadania: budowanie na przykład okrętów itp. Sztuka wojenna również potrzebowała jego pomocy.

W związku ze wzmagającą się proletaryzacją szerokich mas ludowych miasta stawały się coraz bardziej zagęszczone, co pociągało za sobą pustoszące epidemie i w ogóle choroby i zwiększało potrzebę lekarzy. A wzrost burżuazji i napływ szlachty ze wsi do stolicy powiększały liczbę tych, którzy mogli opłacać usługi lekarzy.

W poprzednim rozdziale mówiliśmy już, jak powstała i rosła potrzeba prawników.

Nowe scentralizowane państwo, które nastąpiło po dawnym luźnym związku ustroju feudalnego, nie mogło już opierać się na starym systemie rządzenia za pośrednictwem szlachty i duchowieństwa. Te mu tylko przeszkadzały. Na ich miejsce postawiło więc scentralizowaną biurokrację — kategorię ludzi, dla których zajmowanie się sprawami rządu nie było pracą dodatkową, uboczną, lecz wyłączną, zawodową.

Dla przygotowania wszystkich wyliczonych tu fachowców potrzebne były szkoły i spory zastęp nauczycieli.

Tym sposobem powstała liczna klasa ludzi, rekrutujących się głównie z mieszczaństwa — ściśle zresztą z nim związanych — zdobywających środki do życia z racji swoich uzdolnień intelektualnych, klasa, którą dlatego nazwać wypada „inteligencją". Z tego naturalnie jeszcze nie wynika, żeby wszyscy zaliczający się do niej byli inteligentni, jak nie wynika i to, że ludzi inteligentnych można było znaleźć tylko w jej szeregach. Z łona inteligencji wyszli myśliciele, którzy stawiali sobie za cel czystą naukę, nie podporządkowaną bezpośrednio interesom praktycznym. Studiowali oni zjawiska przyrody i życia społecznego, usiłując ustalić ich prawa, nie troszcząc się jednak o to, czy będzie można wyciągnąć jakąś praktyczną korzyść z tych badań. Dla nich nauka, sama w sobie, była celem, a nie środkiem. Ale jak by nie były abstrakcyjne teorie tych filozofów, ich osobiste potrzeby miały charakter zdecydowanie konkretny. Chcieli żyć, i to często żyć dobrze.

U starożytnych Greków, a właściwie u Ateńczyków, zajęcie filozofa — badanie prawdy — było zajęciem najbardziej zaszczytnym, przywilejem obywateli wolnych i zamożnych. Swój swobodny czas, który za-

wdzięczali pracy niewolników i innym sposobom wyzysku, poświęcali naukom i sztukom.

Z podobnym zjawiskiem spotykamy się u starożytnych Rzymian, tylko że ci byli stworzeni z grubszego materiału. Zbyt prędko zamienili się z nieokrzesanych włościan w panów świata, ażeby żądza zysku i wyzysku, pogoń za bezmyślnym zbytkiem i ubieganie się o zaszczyty nie były u większości zamożnych Rzymian silniejsze niż pragnienie wiedzy i rozkoszowanie się czystym pięknem. Ale co stało się z nauką i sztuką, gdy się znów odrodziły pod koniec wieków średnich! Z jednej strony — oprócz arystokracji dworskiej, o której jeszcze będziemy mówić — widzimy tam nieokrzesaną wiejską szlachtę feudalną i duchowieństwo, szukających zadowolenia tylko w najgrubszych i najniższych uciechach, a z drugiej — stan kramarzy, tracący, z małymi wyjątkami, wśród samolubnych spekulacji coraz to bardziej wszelką zdolność do myślenia abstrakcyjnego, w miarę tego jak walka o byt stawała się zażartsza. Po niższych zaś klasach, obarczonych ciężką pracą, naturalnie najmniej można się było spodziewać jakichkolwiek dążeń w tym kierunku: nie miały do tego ani wiedzy, ani czasu.

Żadna z klas panujących, klas posiadaczy pragnących używać życia, nie była zdolna do działalności naukowej i artystycznej; myślenie i twórczość pozostawiono „inteligencji", ludziom zmuszonym na rynku sprzedawać swoje siły duchowe, podobnie jak najemny robotnik sprzedaje tam siły swoich mięśni. Ale odbiorców, zdolnych do opłacania ich usług, filozofowie i artyści znajdowali prawie wyłącznie w szeregach arystokracji dworskiej. Ta wyszła już z owego stanu nieokrzesania, w którym znajdowała się jeszcze szlachta wiejska, i nauczyła się już pojmować i oceniać rozkosze natury subtelniejszej. Miała przy tym

więcej wolnego czasu i wiodła życie spokojniejsze niż stan kupiecki. A jednak żaden dwór nie zamienił się w akademię, w szkołę filozofów; dworacy nie zamienili się w myślicieli albo uczonych, lecz tylko w protektorów i obrońców artystów i filozofów; tak było o wiele wygodniej. Wyzbywając się gruboskórności prowincjonalnego szlachcica, dworacy utracili również i jego energię. Bali się wszelkiej pracy wymagającej wysiłku i systematyczności, pragnęli tylko rozkoszy; nauki i sztuki miały im służyć do tego celu. Obok trefnisiów i karzełków trzymano więc na dworach także filozofów i artystów. Naturalnie filozofia nie powinna była narażać umysłów na zbyt wielki wysiłek, należało ją podawać w formie lekkiej, przyjemnej, dowcipnej i zajmującej.

W pierwszych dziesięcioleciach XVIII w. teorie społeczne, nie odpowiadające tym wymaganiom lub zawierające myśli wrogie dla dworu, nie mogły liczyć we Francji na jakiekolwiek poparcie. Choćby głosiły najbardziej wzniosłe idee, dotąd, dopóki warunki rozwoju społecznego nie wytworzyły podatnego gruntu do ich przyjęcia, miały równie mało szans rozwoju, jak mało ma ich najlepsze nawet ziarno, które pada na opokę.

W tej sytuacji niezwykle trudno było dla opozycyjnych nastrojów stanu trzeciego znaleźć odpowiednią podbudowę teoretyczną. Najwcześniej okazało się to możliwe w stosunku do religii. Arystokracja dworska bowiem odnosiła się do kościoła katolickiego równie wrogo, jak mieszczaństwo. Przy tym, fakt bardzo charakterystyczny, najzawziętsze ataki filozofów w pierwszej połowie XVIII w. były skierowane nie przeciwko najbardziej przestarzałym, na wskroś zmurszałym feudalnym formom kościoła, lecz przeciw tym jego formom, które już zdołały się przystosować

do współczesnych warunków i stosunków. Tego zjawiska absolutnie nie można objaśnić potęgą idei abstrakcyjnych, ale objaśniają je w zupełności pewne interesy klasowe. Stara feudalna organizacja kościoła, opierająca się na posiadaniu ziemi, stała się we Francji już od dawna „narodową". Nie papież, lecz król mianował dostojników kościoła, rozdawał probostwa, przy tym prawie wyłącznie, jak już mówiliśmy poprzednio, przedstawicielom stanu szlacheckiego. Chociaż szlachta pokpiwała sobie z religii, jednak taki porządek najzupełniej jej odpowiadał, nie znosiła więc ataków, które by mogły być nieprzyjemne kościołowi.

Ale istniała pewna organizacja kościelna, która podlegała nie królowi, lecz papieżowi. Ogromnymi jej dochodami dysponował papież, cudzoziemiec, korzystali zaś z nich nie tylko Francuzi, lecz Włosi, Hiszpanie, Niemcy i in. — organizacja miała charakter międzynarodowy. Przy tym dochody jej bynajmniej nie dostawały się do rąk ludzi dobrze urodzonych, pochodzenie nie odgrywało tam żadnej roli, o miejscu zajmowanym na drabinie hierarchicznej decydowały zdolności i zasługi. Nie mniej od szlachty nienawidziło tej organizacji i mieszczaństwo, widząc w niej potężnego konkurenta. Potrafiła ona bowiem korzystać ze wszystkich współczesnych sposobów zdobywania majątku dla wzbogacenia kościoła. Tym zaś łatwiej było jej walczyć z wszelką konkurencją i zgromadzić olbrzymie bogactwa, że w całym świecie, nawet w Chinach i Japonii, w Meksyku i Peruwii, miała rozproszonych misjonarzy, agentów i szpiegów bezustannie rozszerzających sferę jej działalności wszędzie tam, gdzie nie powstrzymywała ich konkurencja protestancka. Członkowie tej organizacji, nie poprzestając na samej Europie, musieli doprowadzić do pewnego systemu wyzyskiwania kolonii. Byli to pierwsi Europejczycy, którzy

zaczęli ciągnąć zyski z kolonii nie tylko drogą łupiestwa, nie tylko poprzez zakładanie placówek handlowych i olbrzymich plantacji, ale także poprzez zatrudnienie krajowców w przedsiębiorstwach przemysłowych, w cukrowniach itp. A ci zręczni i podstępni ludzie, umiejący tak dobrze załatwiać swoje interesy i tak mocno trzymający się razem, ci działacze nie mający ojczyzny, na których konkurencję mieszczanin katolicki natrafiał albo bał się natrafić wszędzie, gdziekolwiek można było zarobić pieniądze, i których nienawidził tym bardziej, że odczuwał przed nimi pewien zabobonny lęk, ci ludzie nie byli to Żydzi, jak mógłby przypuszczać na podstawie powyższego opisu jakiś współczesny „aryjczyk" albo „chrześcijanin", o nie! To byli jezuici. Przeciwko nim właśnie, przeciwko tym wspólnym wrogom mieszczaństwa i arystokracji dworskiej, zostały skierowane najostrzejsze ataki filozofii „oświecenia", a nawet najsilniejsze prześladowania dworów, używających środków policyjnych.

Ale prześladowania jezuitów tak samo nie usuwały bezładu ekonomicznego XVIII w., jak nie usuwa go dziś szczucie na Żydów. Stan ekonomiczny narodu, jak już widzieliśmy, stawał się coraz to cięższy, i coraz to bardziej stawało się dla wszystkich jasne, że głównym źródłem wszelkich nadużyć jest dwór, że to on stanowi główną zaporę na drodze prawidłowego rozwoju ekonomicznego, że jest pierwszym i największym wyzyskiwaczem kraju.

W tym samym czasie większość myślicieli i uczonych zdołała się już uniezależnić od dworu. Inteligencja wzrosła liczebnie, w łonie mieszczaństwa wzbudziło się zainteresowanie sprawami państwowymi. Książki poruszające zagadnienia polityczne i ekonomiczne stały się towarem pokupnym. Obok rynku

książkowego powstało i dziennikarstwo. Filozof i literat mieszczański nie potrzebował już zabiegać o względy dworu, by uzyskać od niego pensje i datki, zdobywał teraz środki do życia — wprawdzie bardzo skąpe niekiedy — występując jako przedstawiciel interesów burżuazji. Odtąd, tj. od połowy wieku XVIII, mogły już powstawać i rozszerzać się takie teorie i doktryny, które nie tylko nie liczyły się z gustami i życzeniami dworu, ale odnosiły się do niego wprost wrogo.

Nawet teorie wrogie dla kapitalistów zaczęły wówczas znajdować sympatię. Zbyt liczne bowiem były kategorie kapitalistów, którzy otwarcie bogacili się na rozrzutności i marnotrawstwie dworu, brali czynny udział w wyzyskiwaniu państwa i dlatego bardzo wrogo zapatrywali się na wszelkie dążenia i próby, zmierzające do usunięcia istniejących nadużyć. Z każdym dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, że tylko włościaństwo i „drobiazg" mieszczański, czyli „lud", jak wtedy mówiono, może być tą siłą, która obali panowanie dworu i położy kres przywilejom, od których ten lud najbardziej cierpiał.

Coraz to częściej zaczynali wyrażać swą miłość dla ludu myśliciele mieszczańscy, którzy przemienili się z „filozofów" w ekonomistów i polityków, coraz to z większą nienawiścią mówili teraz nie tylko o duchowieństwie i szlachcie, ale o „bogatych" w ogóle.

Jednak zaczątki krytyki socjalistycznej, które pojawiły się w drugiej połowie XVIII w., znajdowały bardzo mało zrozumienia i sympatii w społeczeństwie. Teorie, które zdobyły sobie rozgłos i popularność, a zwłaszcza teoria Jean Jacques Rousseau, nie były bynajmniej komunistyczne, choć mogą za takie uchodzić na pierwsze wejrzenie. Ówczesne czasy wymagały obalenia organizacji feudalnych, zdecydowanie hamujących rozwój wytwórczości towarowej, a inteli-

gencja mieszczańska zbyt dobrze orientowała się w panujących wówczas stosunkach, aby tego nie zrozumieć i oddawać się socjalizmowi, który wtedy był jeszcze doktryną zupełnie pozbawioną gruntu pod nogami. Poza tym przy całym swoim współczuciu dla klas wyzyskiwanych i cierpiących inteligencja mieszczańska nie mogła wznieść się ponad swoje stanowisko klasowe, ponad stanowisko burżuazji, do której sama należała z racji swoich stosunków i związków rodzinnych, swego położenia społecznego i warunków swego bytu. Tylko że jej widnokręgu umysłowego nie ograniczały chwilowe i ciasne interesy jakiejś oddzielnej kliki kapitalistów, przeszkadzające tym kapitalistom zrozumieć istotne potrzeby całej klasy i zgodnie pracować na jej korzyść, owe interesy, które z wielu kapitalistów czyniły zwolenników porządku feudalnego i większość z nich popchnęły do szeregów nieprzyjaciół wszelkich reform.

Inteligencja stała wyżej od ograniczonej burżuazji, pogrążonej w swoich osobistych interesach; nauka i praca umysłowa rozwinęły w niej zdolność do uogólnień i logicznego myślenia oraz dały jej poznanie stosunków społecznych i politycznych przeszłości i teraźniejszości. Toteż właśnie inteligencja stała się wyrazicielką istotnych i najważniejszych interesów klasowych mieszczaństwa, które wówczas były zgodne z wymaganiami rozwoju ekonomicznego. Inteligencja występowała w ich obronie nie tylko przeciwko dworowi, arystokracji i duchowieństwu, a niekiedy także przeciwko włościanom, drobnomieszczaństwu i proletariuszom, lecz również przeciwko tym pojedynczym grupom kapitalistów, których przypadkowe, chwilowe interesy pozostawały w sprzeczności z istotnymi interesami całej klasy. Kierując się nie swoimi osobistymi, chwilowymi interesami, lecz działając na pod-

stawie głębszego poznania stosunków społecznych, nabytego dzięki pracy myśli, przedstawiciele inteligencji mieszczańskiej występowali jako obrońcy nie interesów materialnych, lecz zasad oderwanych, czystych idei. Byli „doktrynerami" w stosunku do „praktyków" kapitalistycznych, którzy, dumni ze swego nieuctwa, chcieli państwo podporządkować swoim chwilowym, praktycznym, ale samolubnym celom.

Inteligencja mieszczańska jeszcze wówczas nie doszła do tego, żeby swoje teorie przystosowywać — jak zaczęła to czynić później — do życzeń i gustów różnych „praktycznych działaczy państwowych", zamiast żądać od nich podporządkowania się tym teoriom.

A we Francji rewolucja oddała jej do rąk władzę i możność wprowadzenia swoich teorii w życie. Po upadku arystokracji dworskiej i związanych z nią tuzów finansowych we Francji pozostała tylko jedna klasa, która była zdolna do zarządzania sprawami państwa, a mianowicie: inteligencja mieszczańska.

Nawet i dziś jeszcze, kiedy w większości państw konstytucyjnych szerokie masy ludowe — a zwłaszcza robotnicy miejscy — zaznajomiły się, dzięki swojemu uczestnictwu w życiu politycznym kraju, z wymaganiami i zadaniami prawodawstwa i zasadami zarządzania we współczesnym wielkim państwie oraz z parlamentarnym załatwianiem spraw społecznych, wciąż jeszcze w parlamentach przeważa inteligencja mieszczańska. O ileż silniejszą musiała być ta przewaga sto lat temu we Francji, gdzie w ciągu stuleci systematycznie tłumiono wszelką działalność polityczną ludności.

Nawet drobne mieszczaństwo Paryża wybierało swoich przedstawicieli nie ze swej sfery, lecz spomiędzy prawników, dziennikarzy itp.

Tym sposobem inteligencja mieszczańska zagar-

nęła władzę państwową i użyła jej do wprowadzenia w życie swoich teorii, tj. do urzeczywistnienia interesów klasowych burżuazji. A ponieważ tendencje tych teorii pozostawały w zgodzie z wymaganiami rozwoju historycznego, więc zgadzały się również z rzeczywistymi tendencjami rewolucji.

W czasie rewolucji głos inteligencji rozlegał się szczególnie często i głośno, toteż w mowach, które doszły do nas, oraz w książkach i gazetach tej epoki najwyraźniej odbiły się właśnie jej przekonania. Nic dziwnego więc, że ideologowie, budujący swoje wywody na podstawie spostrzeżeń powierzchownych, doszli do wniosku, że myśliciele i ich idee wywołali rewolucję i kierowali jej biegiem.

Nie ma wątpliwości, że inteligencja mieszczańska należy do liczby klas, które na rewolucji francuskiej wycisnęły najwyraźniejsze piętno. Oczywiście, że rewolucja, ale tylko w tym stopniu, w jakim była kierowana przez organy rządów państwowych i prawodawstwa, jest dziełem inteligencji. Nie należy jednak mniemać, że rewolucja była wyłącznie kierowana przez dekrety ministerialne i uchwały parlamentarne. Właśnie w najważniejszych chwilach inicjatywa wychodziła od powstań ludowych, od powstań chłopów i ludności przedmieść paryskich — do nich należało ostatnie słowo; najważniejsze uchwały różnych zgromadzeń narodowych — Zgromadzenia Urządzającego, Prawodawczego, Konwentu — uświęcały tylko to, co już było zrobione przez lud. W walce rewolucyjnej wszystkie zgromadzenia okazały swoją zupełną niemoc; zamiast kierować ludem, same poddawały się jego wpływowi.

Znaczenie i wpływ inteligencji zaznaczyły się nie w zdarzeniach samej rewolucji, lecz w tych jej pracach, które rewolucję przeżyły. Nie ona to zburzyła

Bastylię, nie ona zrzuciła jarzmo feudalizmu, nie ona wymiotła z Francji wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Ale ona dała Francji te podstawy, na których jeszcze dotychczas spoczywa jej organizacja społeczna i państwowa; ona stworzyła prawo cywilne, które dotychczas jeszcze najlepiej odpowiada stosunkom nowoczesnym. Wprawdzie jeden szczęśliwy generał przywłaszczył sobie to prawo, jak wiele innych rzeczy, i użył go do swoich celów. „Kodeks cywilny" zamienił się w „Kodeks Napoleona". A jednak ten kodeks został sworzony przez rewolucyjną inteligencję Konwentu.

VIII

SANKIULOCI

W skład stanu trzeciego wchodzili i rzemieślnicy. Organizacja cechowa dawno już skostniała w swoich formach i zamieniła się w środek monopolizacji wytwórczości rzemieślniczej w rękach nielicznych osobników. Tytuł majstra stał się przywilejem — według widzimisię niewielkiego grona ludzi, mających prawo do tego tytułu, rósł wyzysk czeladników i odbiorców. Dla czeladnika było rzeczą prawie niemożliwą dochrapać się stanowiska majstra, chyba że był synem albo zięciem majstra, albo też ożenił się z wdową po majstrze; dla wszystkich innych przyjęcie w poczet majstrów było, wskutek całego szeregu warunków ograniczających, nie tylko bardzo trudne, ale zazwyczaj wręcz niemożliwe. Często cech ogłaszał się za zamknięty, a wtedy liczba majstrów, z których się składał, była raz na zawsze ściśle oznaczona.

Ale majstrowie cechowi mylili się bardzo, jeśli mniemali, że w państwie absolutnym i policyjnym uda im się o własnych siłach zaprowadzić i zachować swój monopol. Dawne królestwo nie dopuszczało nawet myśli o tym, żeby garstka ludzi wyzyskiwała lud na podstawie jakiegoś tam przywileju, nie dzieląc się zyskiem ze swym władcą. Dlatego uznano prawo rozdawania patentów na tytuł majstra — naturalnie za dobrą zapłatą — za prerogatywę korony. Korona

również przywłaszczyła sobie prawo mianowania starszych cechowych i innych urzędników zarządu cechowego. Jeśli cechy chciały zachować swoje przywileje, musiały je nabywać od korony za grube pieniądze, przy tym takie nabycie nie było wieczyste. Król lubił sobie przypominać o swoich prawach zwierzchniczych w stosunku do cechów — starał się z nich korzystać, ilekroć potrzebował pieniędzy.

Majstrowie cechowi byli naturalnie bardzo zainteresowani w zachowaniu starego porządku, opierającego się na przywilejach; wszak oni, jako najsłabsi z uprzywilejowanych, musieliby pierwsi paść ofiarą wszelkiej polityki reformatorskiej. I rzeczywiście, pierwszy cios reformatorskiej działalności Turgota spadł właśnie na nich.

W ostrym przeciwieństwie do interesów majstrów pozostawały interesy ich czeladników. Tytuł czeladnika przestał być już prostym stopniem przejściowym do tytułu majstra; czeladnicy zamienili się w odrębną klasę mającą swoje odrębne interesy. Ale ich dążenia i uczucia nie odpowiadały dążeniom dzisiejszego proletariatu najemnego. Tocząc jak najzażartszą walkę z majstrami c e c h o w y m i, nie domagali się oni niczego innego, jak tylko możności zostania takimiż majstrami, poczuwali się przy tym do pełnej solidarności z nimi, jako klasą liczną i szybko rosnącą.

We Francji przedrewolucyjnej, tym państwie przywilejów, niektóre miejscowości korzystały z osobliwego przywileju — zwolnienia od wszelkich ograniczeń cechowych. Cechy zresztą istniały tylko w miastach, do wsi ich wpływ nie sięgał. Niektóre wsie, leżące w sąsiedztwie wielkich, szybko rozrastających się miast, z biegiem czasu z nimi się zlały i zamieniły się w ich przedmieścia, zachowując jednak nadal swoją wolność od ograniczeń cechowych. Kiedy za

Ludwika XVI nędza i cierpienie rzemieślników, nie należących do cechów, oraz ich rozgoryczenie przeciwko cechom przybrały wielkie rozmiary, wtedy rząd próbował położyć kres niezadowoleniu i uspokoić umysły w ten sposób, że rozszerzył wspomniany przywilej przedmieść i nadał go niektórym nowym miejscowościom. W Paryżu szczególnie się poszczęściło pod tym względem przedmieściom St. Antoine i Temple [1]. Wszyscy czeladnicy, pragnący zdobyć samodzielne stanowisko, a nie mający żadnej nadziei dostania się kiedyś między majstrów cechowych, napływali do tych przedmieść. Na ich stosunkowo niezbyt dużej przestrzeni tuliła się nieprawdopodobnie wielka ilość drobnych majstrów, wiodących nader nędzny żywot, ponieważ w miastach, poza obrębem przedmieść, nie mieli prawa sprzedawać swych wyrobów. Im znaczniejszą stawała się liczba tych rzemieślników i im większą była ich wzajemna konkurencja, tym bardziej rosło ich oburzenie na te ograniczenia, które na nich nakładał stary porządek, tym większy gniew budziło w nich porównywanie własnej nędzy z zamożnością majstrów cechowych w sąsiednich dzielnicach miasta.

W takich miejscowościach, wolnych od ograniczeń cechowych, kapitaliści bardzo chętnie zakładali swoje manufaktury, ponieważ tu prędzej niż gdzie indziej mogli mieć potrzebne im ręce robocze, dostatecznie wyćwiczone, i zupełną swobodę ich wyzyskiwania. Obok masy drobnych majstrów i czeladników napotykamy przeto na wspomnianych przedmieściach mnóstwo najemnych robotników, pracujących w przemyśle kapitalistycznym; rekrutowali się oni przeważnie z ludności włościańskiej. Obok robotników wykwalifikowanych, znających fach, przemysł kapitalistyczny zaczął

[1] Zobacz między innymi Tocqueville: L'ancien régime et la Révolution. (Paryż 1859, 139).

zatrudniać w coraz większej ilości także robotników niewykwalifikowanych, najemników itp.

Ręka w rękę z tymi elementami sproletaryzowanymi szły inne warstwy po części rekrutujące się z ich sfery, po części tylko utrzymujące się z nich i dlatego podzielające ich interesy, jak na przykład: sklepikarze, szynkarze itd.

Poniżej warstwy robotników i drobnego mieszczaństwa znajdowała się liczna warstwa hołoty (lumpenproletariat), która, rosnąc wciąż liczebnie, bezustannie dążyła do miast, zwłaszcza do Paryża, gdzie prędzej niż gdzie indziej mogła zdobyć kawałek chleba uczciwym, a czasem i nieuczciwym sposobem. Żebracy stanowili dwudziestą część całego narodu. W roku 1777 liczba ich dochodziła do 1,2 mln. W samym Paryżu było ich 120 tys., to znaczy więcej niż jedna szósta ludności całego miasta.

Większa część owej hołoty nie upadła jeszcze ostatecznie, dość było słabego promyka nadziei, aby okazała swoją zdolność do moralnego odrodzenia. Pełne gorącego zapału, rzuciły się te warstwy ludu do walki rewolucyjnej, gdyż w niej widziały koniec swych cierpień. Nie ulega, naturalnie, najmniejszej wątpliwości, że wielu ludzi podłych i nikczemnych przyłączyło się do rewolucji jedynie w celu łowienia ryb w mętnej wodzie, i łatwo pojąć, że ludzie ci gotowi byli — przy każdej nadarzającej się sposobności — sprzedać i zdradzić tę sprawę, której służyli wyłącznie ze względów samolubnych. Jest więc rzeczą śmieszną i niedorzeczną, gdy ktoś usiłuje powoływać się na tych nędznych osobników, jako typowych przedstawicieli całych mas drobnego mieszczaństwa i proletariatu.

Jakkolwiek różnorodne były żywioły wchodzące w skład wymienionych warstw, jednak do pewnego

stopnia przedstawiały one jednolitą, prawdziwie rewolucyjną masę. Wszyscy jej przedstawiciele byli przepojeni palącą nienawiścią nie tylko do stanów uprzywilejowanych: majstrów cechowych, duchowieństwa, arystokracji, lecz i do burżuazji, która albo wyzyskiwała ich bezpośrednio w osobach nabywców podatków, spekulantów zbożowych, lichwiarzy, przedsiębiorców itp., albo w takiej lub innej postaci szkodziła im swoją konkurencją. Ale pomimo tej nienawiści, pomimo tych ostrych form, w których ta nienawiść niekiedy się ujawniała, żywioły rewolucyjne, o których mówimy, bynajmniej nie miały poglądów socjalistycznych. Proletariatu, jako samodzielnej, uświadomionej klasy, przed rewolucją nie było. Obracał się on wciąż jeszcze w kręgu mentalności drobnego mieszczaństwa, a dążenia i ideały owego mieszczaństwa jak najbardziej wiązały się z wytwórczością towarową.

Próby utożsamiania tych żywiołów przedrewolucyjnej Francji ze współczesnym proletariatem — zatrudnionym w wielkim przemyśle — i przypisywanie im jego dążeń przyczyniają się do powstania fałszywego wyobrażenia nie tylko o tych żywiołach, znanych pod ogólną nazwą sankiulotów [1], ale i o całej rewolucji, na której przebieg żywioły te wywarły tak ogromny wpływ.

Mieszczaństwo, jak to widzieliśmy wyżej, bynajmniej nie stanowiło jednorodnej masy rewolucyjnej. Jedni przedstawiciele mieszczaństwa wskutek swych przypadkowych, chwilowych interesów byli wręcz

---

1 Zupełnie błędnie tłumaczy się nazwę „sankiulotów" przez nazwę „golonogich". „Culottes" — były to krótkie spodnie, dochodzące tylko do kolan — nosili je tylko przedstawiciele klas wyższych. Natomiast te warstwy ludności, spomiędzy których rekrutowali się sankiuloci, nosiły spodnie długie (pantalons) według wzoru dzisiejszego i dlatego właśnie otrzymały od arystokratów pogardliwą nazwę: sankiulotów.

zainteresowani w zachowaniu dawnych przywilejów: drudzy spoglądali na rewolucję chłodno i podejrzliwie, inni wreszcie, choć z nią sympatyzowali, nie mieli dość siły i odwagi, aby czynnie okazać swoje sympatie. Rewolucyjna zaś część mieszczaństwa zupełnie nie była zdolna do tego, żeby sama, bez sprzymierzeńców, załatwić się ze swoimi nieprzyjaciółmi, a przede wszystkim z dworem. Wszak dwór mógł w każdej chwili liczyć na pewną część armii, mianowicie na tę część, która składała się z pułków francuskich, rekrutujących się z prowincji zacofanych. Do swojej dyspozycji miał również król wojska zaciężne: szwajcarskie i niemieckie. Poza tym dwór znajdował poparcie i pomoc za granicą. Nic dziwnego więc, że wewnątrz kraju rozdmuchiwał pochodnię wojny domowej. Ażeby dać sobie radę z tymi żywiołami kontrrewolucji, trzeba było ludzi innego składu niż przedstawiciele mieszczaństwa, ludzi, którzy w przewrocie społecznym nic by nie ryzykowali, ludzi, którzy nie mając do czynienia z odbiorcami klas wyższych, mogli nie liczyć się z ich interesami i gustami, ludzi, którzy posiadali dość silną rękę, aby zadać cios ostateczny. W ogóle do tego celu potrzeba było wielkich mas. Rewolucyjna część burżuazji znalazła poparcie — bez którego jej sprawa z pewnością byłaby przegrana — w chłopstwie, drobnym mieszczaństwie i proletariacie. Ale chłopstwo, podobnie zresztą jak drobne mieszczaństwo i proletariat miast prowincjonalnych, było zbyt rozdwojone, zbyt mało zorganizowane i zbyt oddalone od Paryża, w którym się koncentrowało życie polityczne Francji, ażeby mogło w chwili krytycznej wymierzyć decydujący cios.

Centrem rewolucji stały się przedmieścia stolicy, gdzie, w bezpośrednim sąsiedztwie rządu, polityka dawnego państwa zgromadziła najsilniejsze i najzu-

chwalsze żywioły całego kraju. Byli tam ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia, a wszystko do zdobycia. Nazywano ich sankiulotami.

Oni to obronili Zgromadzenie Narodowe od napaści dworu; oni, zdobywszy szturmem Bastylię w dniu 14 lipca 1789 r., nie tylko zburzyli tę fortecę, grożącą armatami zrewolucjonizowanemu przedmieściu St. Antoine, lecz stłumili w zarodku próbę dworu wywołania kontrrewolucji i wydali hasło do powstania włościan w całym kraju. Oni również uprzedzili drugą próbę dworu pokonania rewolucji za pomocą wojsk — które pozostały mu jeszcze wierne — przez to, że faktycznie wzięli króla do niewoli i sprowadzili go do Paryża pod swój nadzór (5—6 października 1789 r.).

Lecz wkrótce ze sprzymierzeńców burżuazji sankiuloci zamienili się w jej władców. Ich znaczenie, siła, dojrzałość, samowiedza wzrastały z każdym nowym ciosem wymierzonym rewolucji i odwlekającym tylko jej wybuch i ostateczny tryumf. Im większe niebezpieczeństwo zagrażało sprawie rewolucji, tym bardziej rewolucja potrzebowała poparcia rewolucyjnych przedmieść, tym pewniejsze stawało się ich panowanie. Panowanie to dosięgło swojego punktu szczytowego w chwili, gdy połączone siły monarchów europejskich wtargnęły do Francji, a jednocześnie wewnątrz kraju w różnych prowincjach podniosła głowę kontrrewolucja. Doszło do tego, że nawet rząd i wodzowie wchodzili niekiedy w zbrodnicze konszachty z wrogiem. Nie zgromadzenie prawodawcze, nie Konwent ocaliły wtedy rewolucję — uczynili to sankiuloci. Zagarnęli w swoje ręce Klub Jakobinów i zawładnęli tym sposobem organizacją, która rządząc w Paryżu, miała swoje rozgałęzienia w całym kraju. Opanowali samorząd gminny stolicy, co dało im możność nieograniczonego rozporządzania wszystkimi kolosalnymi środ-

kami tego miasta. Działając poprzez Klub Jakobinów i poprzez gminę paryską, a gdy to nie wystarczało, uciekając się do powstań, sankiuloci podporządkowali swojej władzy Konwent, rząd, wreszcie całą Francję. Wśród najgorętszej wojny, w najrozpaczliwszym położeniu, otoczeni zewsząd niebezpieczeństwami grożącymi im zupełną zagładą, korzystali bez żadnej litości i względów z prawa silniejszego i odpowiadając na wybryki wybrykami nie tylko stłumili wszelki opór i wszelką zdradę, ale utopili we krwi „podejrzanych" wszelką możliwość oporu i zdrady.

Ale terror był nie tylko bronią wojenną, mającą na celu obezwładnienie i nastraszenie wewnętrznego wroga-zdrajcy i dodanie nowej siły i pewności siebie obrońcom sprawy rewolucji w ich walce z wrogiem zewnętrznym.

Wojna złożyła władzę w ręce sankiulotów, ale sankiuloci chcieli walczyć za takie państwo, za taki ustrój społeczny, który by odpowiadał ich dążeniom. Wyzysk feudalny został wprawdzie usunięty, ale wyzysk kapitalistyczny, który powstał jeszcze za starego porządku, istniał w dalszym ciągu. Co więcej, właśnie wskutek obalenia ograniczeń feudalnych kapitalistyczny sposób wytwórczości i wyzysk kapitalistyczny uzyskał możność swobodnego i szybkiego rozwoju. Usunięcie albo przynajmniej skrępowanie i ograniczenie różnych form tego wyzysku, szczególnie tych, które się opierały na handlu, spekulacjach, lichwiarstwie, wydawało się sankiulotom równie ważnym i koniecznym, jak walka z próbami przywrócenia obalonych już form wyzysku feudalnego. Ale obalenie podstaw wyzysku kapitalistycznego było wtedy niemożliwe, ponieważ nie istniały jeszcze konieczne warunki pozwalające na wyższą organizację wytwórczości.

Tym sposobem położenie sankiulotów było zupełnie

bez wyjścia. Okoliczności oddały im w ręce władzę, ale pozbawiły ich możności utworzenia trwałych, korzystnych dla nich instytucji. Rządząc całą Francją, będąc w niej panami sytuacji, nie mogli i nie chcieli bez oporu i bez szemrania znosić tej nędzy, w którą wtrącił ich szybko rozwijający się kapitalistyczny sposób wytwórczości i która jeszcze wzrastała wskutek długotrwałej wojny. Usiłowali walczyć ze swoim położeniem bez wyjścia za pomocą gwałtownego wtrącania się do życia społeczno-ekonomicznego kraju, za pomocą rekwizycji, ustanawiania cen maksymalnych na artykuły pierwszej potrzeby, za pomocą wyroków śmierci na wyzyskiwaczy, spekulantów, działaczy giełdowych, lichwiarzy, oszukańczych dostawców — ale to wszystko ani o krok nie przybliżało ich do upragnionego celu. Kapitalistyczny sposób wytwórczości był podobny do hydry: im więcej głów mu ścinano, tym więcej odrastało nowych. W swoich usiłowaniach powstrzymania jego rozwoju sankiuloci szli coraz to dalej. Ogłosili wreszcie nieustanną, ciągłą rewolucję. Albowiem w im ostrzejszym przeciwieństwie z potrzebami istniejącej organizacji wytwórczości i interesami wszystkich innych klas stawiała ich ta walka z wyzyskiem kapitalistycznym, tym bardziej musieli wzmagać terror — tę jedyną pozostałą w ich rękach broń, której konieczność wzrastała jeszcze wskutek panującego w kraju stanu wojennego.

Ale kiedy zwycięstwa armii francuskiej nad wrogiem utrwaliły stanowisko rzeczypospolitej — tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz — terror przestał być konieczny dla ocalenia sprawy rewolucji. Będąc hamulcem ekonomicznego rozwoju Francji, stawał się coraz to bardziej znienawidzony. Nieprzyjacielom sankiulotów szybko przybywało sił, gdy tymczasem ich własne szeregi, już i tak mocno przerzedzone przez nieustan-

ną walkę, wciąż tajały wskutek wyczerpania i dezercji pojedynczych bojowników. I w miarę tego, jak oręż Francji coraz to więcej zdobywał wawrzynów na polu bitwy, znaczenie sankiulotów coraz to bardziej upadało, a na ich miejsce wysuwała się armia i burżuazja wraz z hołotą (lumpenproletariat), która do niej się przyłączyła. Sankiuloci zaś tracili pozycję za pozycją, aż wreszcie zupełnie znikli, zeszli z widowni historycznej.

Ich klęskę, która rozpoczęła się 9 termidora (27 lipca roku 1794) upadkiem Robespierre'a, przedtem zaś jeszcze incydentem z Hebertem [1], a zakończyła się ostatecznie 4 prairiala (24 maja roku 1795), niektórzy nazywają zgnieceniem rewolucji. Jakby wydarzenie historyczne, fakt, wywołany określonymi stosunkami społecznymi, mógł być w ogóle zgnieciony. Naturalnie, każde przedsięwzięcie podjęte przez jednostki — jak na przykład spisek, bunt — może być zgniecione, ale to nie odnosi się do całego procesu historycznego, który tylko wtedy zamienia się w rewolucję, gdy jest już zakończony. Rewolucja zgnieciona — przestaje być rewolucją. Zgniecenie rewolucji jest taką samą niemożliwością, jak zgniecenie burzy. W czasie burzy może, naturalnie, zostać zdruzgotany i zginąć pojedynczy statek, taki sam los może spotkać pojedyncze stronnictwo w czasie rewolucji, ale nie wolno jednego stronnictwa utożsamiać z całą rewolucją i przypisywać rewolucji tych celów, które sobie stawiało to stronnictwo.

Jakobini i mieszkańcy przedmieść paryskich ponieśli porażkę dlatego, że bieg rozwoju historycznego nie wytworzył warunków sprzyjających rewolucji pro-

[1] Jacques René Hébert, jeden z najbardziej fanatycznych przywódców rewolucji, redaktor czasopisma jakobińskiego „Père Duchesne", został stracony wraz ze swoimi zwolennikami, „hebertystami", dnia 24 marca 1794 r.

wadzonej w interesach drobnego mieszczaństwa i proletariatu, dlatego, że bieg ten z góry skazał na zagładę wszystko to, co stało na zawadzie rewolucji kapitalistycznej. Ale ich wysiłki nie poszły na marne. Byli oni tą siłą, która ocaliła rewolucję mieszczańską i wymiotła z Francji resztki starego państwa feudalnego tak gruntownie, jak tego nie uczyniono w żadnym innym kraju. Oni to oczyścili i przygotowali grunt, na którym w okresie rządów Dyrektoriatu i Napoleona miał z niesłychaną szybkością — w ciągu kilku lat — wyrość nowy sposób wytwórczości i nowe społeczeństwo. Wskutek ogromnej ironii dziejów to, czego kapitaliści nie potrafili zrobić sami, zrobili dla nich, wbrew swej woli, ich najgorsi wrogowie.

Ale chociaż walka rewolucyjna drobnego mieszczaństwa i proletariatu Francji, a zwłaszcza Paryża, zakończyła się ich porażką, jednak nie przeszła dla nich bez śladu. Ta olbrzymia energia, jaką warstwy te okazały w walce, ta wspaniała rola historyczna, jaką przy tym odegrały, ich rozwinięta samowiedza — wszystko to nadało im dojrzałość polityczną, która nie mogła zniknąć bez śladu, wywiera ona jeszcze swój wpływ i teraz. Tradycje jakobińskie po dziś dzień otaczają mieszczański radykalizm Francji taką aureolą, że mimo swego dość podeszłego wieku jest on o wiele bardziej dziarski i mężny niż pozostali jego współbracia na kontynencie; dzięki tym tradycjom jeszcze dziś część proletariatu, co prawda wciąż się zmniejszająca, pozwala się prowadzić na pasku burżuazji. Tylko mętne wyobrażenia naszych historyków każą im w każdym jakobinie dopatrywać się socjalisty. W rzeczywistości właśnie tradycje jakobińskie są we Francji jedną z najpoważniejszych przeszkód utrudniających powstanie jednolitego i silnego stronnictwa socjalno-demokratycznego.

IX

WŁOŚCIANIE

Jeszcze o stopień niżej aniżeli proletariusze i rzemieślnicy nie należący do cechów oraz inni związani z nimi ludzie stała cała masa włościan. Tamci nie mogli nie ulegać wpływowi tego ruchu umysłowego, który budził się w miastach, gdzie żyli skupieni w wielkie masy, na dość małym obszarze, w pobliżu siedziby rządu; ich skupienie i inteligencja w każdym razie dodawała im pewnej siły oporu, a bliskość rządu umożliwiała wywieranie nań bezpośredniego wpływu. Łatwo pojąć, że jakkolwiek ucisk, gniotący owe żywioły miejskie był wcale nie mały, położenie włościan przedstawiało się znacznie gorzej, w stosunku do nich popełniano o wiele większe nadużycia. Żyjąc w zupełnym odosobnieniu, z dala od umysłowych ognisk kraju, pozbawieni ich duchowego wpływu, nie mieli żadnej prawie możliwości przeciwstawienia się swoim ciemiężycielom albo zmuszenia kogokolwiek do wysłuchania swoich skarg.

Podczas gdy szlachta i duchowieństwo, biurokracja państwowa i miejska — słowem, prawie wszystkie warstwy posiadające — były albo całkowicie zwolnione od podatków bezpośrednich, albo płaciły nieznaczną ich część, na włościan podatki te legły całym swym ciężarem. Częstokroć pochłaniały one 70 proc. czyste-

go dochodu włościanina, a średnio 50 proc. tego dochodu.

Służbę wojskową pełnić musieli głównie włościanie, którzy rokrocznie dawali 60 tys. rekrutów. Szlachta natomiast była wolna od służby wojskowej. A mimo to, z właściwą sobie bezczelnością, swoją wolność od podatków tłumaczyła „podatkiem z krwi", który jakoby ona jedna płaciła ojczyźnie. W rzeczywistości zaś ten „podatek z krwi", o ile go szlachta jeszcze w ogóle płaciła, już od dawna z niebezpiecznego i kosztownego obowiązku zamienił się w intratny i zyskowny przywilej, dający możność wyzyskiwania ojczyzny. Na zarzut, że niesprawiedliwy jest taki porządek, iż tylko z włościan pobiera się rekrutów, pewien obrońca tego porządku odpowiedział, że przecież nikt oprócz chłopa nie zdoła wyżyć w takich okropnych warunkach, w jakich żyją żołnierze, i znosić takiego brutalnego traktowania, jakiego doznają żołnierze.

Powinność szarwarkowa (corvée), to znaczy budowanie i utrzymywanie w porządku dróg wojskowych, obciążała tylko włościan, na nich również spadał obowiązek dostarczania kwaterunku i podwody w czasie ruchów i rozlokowywania wojsk.

Ciężar utrzymywania współczesnego państwa coraz to mocniej przygniatał chłopa; przy tym wcale nie zmniejszały się i ciężary feudalizmu, ciężary, które stały się już hamulcem, powstrzymującym wszelkie ulepszenia wytwórczości, a nawet prowadzącym wprost do jej upadku.

Włościanin nie mógł uprawiać tego, co uważał za najbardziej potrzebne; dziesięcinę pobierano tylko z roślin, które już od dawna uprawiano, a nie z takich, jak kartofle albo lucerna, które dopiero weszły w użycie. Dlatego też często zakazywano ich uprawy. Tym

sposobem w znacznej mierze utrudniano wprowadzenie niektórych ulepszeń do rolnictwa, jak na przykład przejścia od trójpolówki do płodozmianu. Co prawda, jeszcze bardziej hamowały postęp w rolnictwie resztki starego ustroju gminnego, zmuszającego do zachowania dawnego podziału gruntów.

W każdej chwili, wśród najgorętszej pracy w polu, włościanin mógł być od niej oderwany i wezwany do odrabiania pańszczyzny. A gdy z biegiem czasu pańszczyzna została zastąpiona przez oczynszowanie, to szarwarki i podwody dostarczane do przewożenia wojska stawały się coraz uciążliwsze.

Gdy na polach zaczęły wschodzić zasiewy, chłop nie miał żadnych środków, by uchronić je od zwierzyny i gołębi swoich „miłościwych" panów. Myślistwo było przywilejem szlachty, jej również przysługiwało wyłączne prawo chowania królików i utrzymywania gołębników, a szlachta korzystała ze swego prawa w jak najszerszym zakresie: wszak ciężar żywienia tych zwierząt spadał nie na nią, lecz na chłopów, którzy swoje pola pozostawiali na pastwę pańskiej zwierzyny, co prawda, nie dobrowolnie. W niektórych miejscowościach włościanie byli nawet obowiązani uprawiać tylko takie zboża i jarzyny, które zwierzyna lubi zjadać. Dozorcy tej zwierzyny mieli prawo strzelać do każdego, kto by śmiał zabić choćby jednego królika albo zająca. Taine dziwi się, że w miarę tego, jak „obyczaje łagodniały" i „szerzyła się oświata", wzrastało barbarzyństwo polowania. Ale polowanie było dla szlachty nie tylko zabawą, ale i środkiem do wyzyskiwania chłopów: w miarę tego, jak szlachta stawała się coraz mniej potrzebna w państwie, rosła jej żądza używania i zachłanność. „Złagodzenie obyczajów" występowało jedynie w stosunkach panów z panami albo z bogatą burżuazją. Zwierzynę hodowano

w coraz większej ilości, a wśród niej i najbardziej szkodliwych drapieżników. W Clermontois, w majątkach księcia Kondeusza, bardzo troskliwie hodowano i karmiono wilczęta, które potem na zimę wypuszczano na wolność, aby mieć przedmiot do polowania. Że wilki te pożerały przy tym niemało owiec włościańskich, a częstokroć i dzieci, to niewiele obchodziło, „jaśnie panów", tak pięknie i z żarem rozprawiających w swoich wspaniałych salonach o humanitarności.

Król, który był największym właścicielem ziemskim Francji, był również i pierwszym w niej myśliwym [1], a więc bezlitosnym pustoszycielem kraju. W okolicach Paryża leżały jego tereny myśliwskie, które prawie całkowicie uniemożliwiały wszelką uprawę roli. W jedenastu okręgach myśliwskich (capitaineries), leżących w sąsiedztwie stolicy, zwierzyna robiła takie spustoszenia, jakich nie potrafiłoby dokonać „jedenaście pułków jazdy nieprzyjacielskiej" [2].

Oprócz zamiłowania do sztuki ślusarskiej Ludwik XVI miał, jak wiadomo, tylko jedną namiętność — myślistwo. 14 lipca, w dniu wzięcia Bastylii, zanotował w swoim dzienniku ze smutkiem: „Nie było polowania".

Oddzielnym przepisem z roku 1762 zabroniono włościanom, posiadającym ziemię w obrębie królewskich okręgów myśliwskich, ogradzać swoje grunta, ażeby nie przeszkadzać zwierzynie paść się na polach i ogrodach; tenże przepis zabraniał od 1 maja do 24 czerwca komukolwiek wychodzić na pole, nie wyłączając ich właścicieli, ażeby nie płoszyć kuropatw w czasie wylęgu. Niech chwasty zagłuszą zasiewy.

---

1 W jego domenach było milion mórg (arpents) lasów przeznaczonych specjalnie do polowania, nie licząc tych lasów, które służyły do wypalania potasu i do innych celów przemysłowych.

2 Taine: Les origines de la France contemporaine; l'ancien régime (str. 74).

Jeszcze w roku 1789, kiedy już rozpoczęło się powstanie przeciwko systemowi feudalnemu, w jednym tylko kantonie królewskiego okręgu Fontainebleau zasadzono 108 nowych gajów dla zajęcy i kuropatw, pomimo wielu protestów zainteresowanych w tej sprawie włościan.

A Ludwik XVI był jeszcze, jak twierdzą, łagodnym i dobrym monarchą. Jacyż nielitościwi musieli być inni panowie-myśliwi!

Jeśli pomimo tych wszystkich opisanych przeszkód udało się nareszcie chłopu doczekać zbiorów, to jednak nie mógł ich jeszcze zwieźć do domu. Zżęte zboże musiało leżeć na polu dopóty, dopóki nie przyszedł poborca podatków i nie policzył snopów, ażeby oznaczyć wysokość podatku w naturze. A jeśli przed zakończeniem tej procedury nastała niepogoda, to zżęte zboże gniło na polu.

Ale i zwiezioną wreszcie do domu cząstką swego zbioru włościanin nie mógł rozporządzać według własnego życzenia. Musiał swoje winogrona wyciskać na prasie pańskiej, mleć swoje ziarno w młynie pańskim, piec swój chleb w piecu pańskim. Nieprzestrzeganie tych przepisów było surowo karane. Chłop wprawdzie mógł posiadać żarna ręczne, ale za prawo to musiał panu grubo płacić. Prasa winna, młyn i piec piekarniany pana feudalnego pozostające zwykle w rękach dzierżawcy znajdowały się — jak to łatwo można sobie wyobrazić — w stanie jak najnędzniejszym; pracowały więc powoli i źle. Wszak klienci byli zapewnieni, prawo ich dostarczało.

A jeśli po tych wszystkich szachrajstwach i złych przygodach — kiedy to włościanin nie tylko był jak najsromotniej wyzyskiwany, lecz i wytwórczość jego pracy sprowadzała się do minimum — jeśli mimo wszystko pozostawała mu jeszcze jaka taka nadwyż-

ka, którą mógł zawieźć na targ, to i tutaj natrafiał na cały szereg przeszkód i ograniczeń. Wino na przykład pozwolono mu sprzedawać dopiero po upływie 4—6 tygodni od winobrania, gdyż do tego czasu prawo sprzedawania wina przysługiwało wyłącznie panom. Na dodatek, drogi wiejskie były straszne, myta drogowe i targowe nadzwyczaj wysokie. I włościanin mógł się tylko radować, jeśli suma otrzymana za sprzedane produkty wystarczała na pokrycie wydatków, które pochłaniał przewóz.

Ale jakże rzadko pozostawały mu jakieś resztki do zbycia. Myśmy tu tylko wspomnieli o niektórych „prawnych" sposobach wyzysku i ucisku, szczegółowe ich wyliczenie zajęłoby znacznie więcej miejsca, utworzyłby się długi spis bez końca. (Wachsmuth w swojej „Geschichte Frankreichs im Revolutionszeitalter" wylicza nie mniej jak 150 nazw różnych praw feudalnych, które zniesiono, bez wszelkiego odszkodowania na korzyść ich posiadaczy, w nocy 4 sierpnia 1789 r.). Lecz nie dość na tym, włościanin był całkowicie wyzuty z praw w zakresie obowiązków płatniczych. Urzędnicy rządowi i dziedzice wyciskali z niego nie tyle, ile on p o w i n i e n im był dawać, lecz tyle, ile m o g l i z niego wycisnąć. Tylko widok najstraszliwszej nędzy ratował chłopa od ostatecznego łupiestwa. W okropnym, zupełnie rozpaczliwym stanie znajdowało się jego mieszkanie, a w takim samym stanie były jego narzędzia, bydło i pola. A jeśli mu się udało zrobić jakie takie zapasy, to zwykle zamieniał je na gotówkę, którą łatwiej niż cokolwiek innego mógł ukryć przed chciwym i wszystkowidzącym wzrokiem „sług prawa". Niekiedy pieniądze te wydawał na kupno kawałka ziemi, ale nigdy ich nie przeznaczał na ulepszenie gospodarstwa. Wszelkie podniesienie wydajności ziemi natychmiast pociągnęłoby za sobą wyż-

sze jej opodatkowanie, które i tak pochłonęłoby całą nadwyżkę.

Ale u większości włościan nędzny stan ich gospodarki, prowadzonej w sposób jak najbardziej prymitywny, wypływał po prostu z konieczności, tylko nielicznym udawało się uciułać i ukryć niewielką sumę pieniędzy. Gleba, nigdy nie ulepszana, traciła swą żyzność, jałowiała, coraz częściej zdarzały się lata nieurodzajne. Zapasów naturalnie nie było ani śladu, więc kiedy przychodził nieurodzaj, jego nieuniknionym towarzyszem był straszny głód. Wielu włościan wtedy podupadało, tracąc wszelką możność samodzielnego prowadzenia gospodarki. Porzucali więc niwy ojczyste; wsie coraz bardziej pustoszały. Już w roku 1750, według obliczeń Quesnaya, czwarta część wszystkiej ziemi ornej we Francji była nie uprawiona: w przeddzień zaś rewolucji, jak podaje Artur Young, leżała odłogiem trzecia część ziemi przydatnej do uprawy (przeszło 9 mln hektarów). Według sprawozdania towarzystwa rolniczego w Rennes dwie trzecie Bretanii zajmowały odłogi.

W miarę jak liczba włościan malała, ogólna suma pobieranych z nich opłat i ciężarów rosła, spadając przy tym na coraz to mniejszą liczbę ludzi. Nic dziwnego, że w końcu w niektórych okręgach wiejskich cała ludność mogła łatwo się rozproszyć. Ale dokąd? Wychodźstwo za granicę było wówczas dla włościan prawie niemożliwe. Napływali więc do miasta jako najemnicy. Ale i tam natrafiali na ograniczenia feudalne w postaci monopolu cechowego, na ograniczenia, które stawały się tym uciążliwsze, im bardziej rosła proletaryzacja ludności wiejskiej. Zaczęli więc zapełniać wolne od ograniczeń cechowych przedmieścia Paryża i najbardziej przyczyniali się tam do wytworze-

nia tego tłumu, który szybko dojrzewał do sankiulotyzmu.

Niektórzy wstępowali do wojska, ale naturalnie nie z przywiązania do stanów uprzywilejowanych, których interesów armia miała bronić, tych stanów, które doprowadziły ich do obecnej nędzy i pozbawiły nawet nadziei na wydostanie się kiedykolwiek z tego położenia. Wystarczyłby najmniejszy bodziec, aby ich podburzyć przeciwko ciemiężycielom.

Ale większość włościan, którzy się „uwolnili", spadała do rzędu hołoty (lumpenproletariat). Toteż szeregi hołoty szybko wzrastały pomimo surowych kar, jakie stosowano wobec żebraków i włóczęgów. Klasy rządzące wyobrażały sobie, że brak stałego miejsca zamieszkania i określonego zajęcia można usunąć prześladowaniem tych, którzy zostali dotknięci tym nieszczęściem społecznym. Jak skuteczne były takie środki, można sądzić z tego, że chociaż ukaz z roku 1764 groził za żebraninę, a nawet za nieposiadanie stałego zajęcia, karą trzyletnich robót na galerach, jednak w roku 1777 liczono we Francji 1,2 mln żebraków. Nie wiemy, jaką drogą otrzymano tę cyfrę, ale choćby nawet podana była w przybliżeniu, dość wymownie świadczy o strasznych rozmiarach żebractwa w tym czasie [1].

---

1 Porówn. rozdz. VIII. O lumpenproletariacie we Francji przed rewolucją znajdujemy w przytoczonej już pracy Karajewa „Włościanie i kwestia włościańska we Francji" na str. 211—214 następujące fakty (które zapożyczam z łaskawie udzielonych mi przez jednego z moich przyjaciół urywków w tłumaczeniu niemieckim): „Rzecz godna uwagi, że liczba żebraków była największa w tych prowincjach, które uchodziły za najurodzajniejsze; pochodziło to stąd, że w takich okolicach było bardzo mało oraczów-właścicieli.

Ale niech mówią cyfry. W Argentrais, w Bretanii, z 2,3 tys. mieszkańców, nie uprawiających przemysłu i handlu, nie więcej niż połowa tylko jako tako daje sobie radę, a przeszło 500 zajmuje się żebraniną. W Denebille, w Artois, na 130 domów było 60 ubogich. W Normandii: na 1,5 tys. mieszkańców St. Patrice 400 żyło z jałmużny, a z 500 mieszkańców St. Laurent — żyło z jałmużny trzy czwarte (Taine I, 506—507).

Ale ludzie o zdrowych pięściach i śmiałego charakteru pogardzali spokojnym losem żebraka, którym wszyscy pomiatali. Woleli się więc łączyć w zbrojne bandy i zabierać siłą to, czego potrzebowali. Rozboje stały się straszną i nieuleczalną raną kraju.

Nawet wśród włościan, których własność albo pęta feudalne przywiązywały jeszcze do gleby, coraz to bardziej zaczął się budzić duch buntu i gniewu. Urzędnicy rządowi i przedstawiciele panów feudalnych natrafiali na każdym kroku na opór i powstania. Wszczynane sporadycznie i bez żadnych między sobą powią-

---

Z cahiers wójtostwa (bailliage) Douai dowiadujemy się, że na przykład w jednej wiosce, składającej się z 332 zagród, połowa mieszkańców żyła z jałmużny (parafia Bouvignies); w innej na 143 domy przypadało 65 ubogich (parafia Aix), a jeszcze w innej na 413 bardzo biednych zagród przypadało około 100 żebraków (parafia Landes) itd. W starostwie Puy en Velay — według cahier miejscowego duchowieństwa — ze 120 tys. mieszkańców prawie połowa (58 897) nie mogła płacić jakichkolwiek podatków (Archives parlamentaires de 1787 á 1860, t. V, str. 567). We wsiach okręgu Carhaix były takie stosunki: Frevogan — 10 rodzin zamożnych, 10 ubogich, 10 żyjących z jałmużny; Motret — 47 rodzin zamożnych, 74 mniej zamożnych, 64 żebraków i najemników; Paule — 200 gospodarstw, z których większa część słusznie zasługuje na nazwę przybytków nędzy. (Archives Nationales, IV, 17). Cahier parafii Marboeuf skarży się, że w tej parafii na 500 mieszkańców jest około 100 żebrzących (Boisvin-Champeau: Notice historique sur la Révolution dans le departement de l'Eure, 1872, str. 83). Włościanie wsi Harville powiadają, że z powodu braku roboty trzecia część z nich żebrze (Reguete des habitants de la commune de Harville, Archives Nationales).

W miastach nie było lepiej. W Lugdunie w roku 1787 żebrze 30 tys. robotników. W Paryżu na 650 tys. mieszkańców przypada 118 784 biedaków (Taine I, 507). W Rennes jedna trzecia część mieszkańców żyła z jałmużny, a drugiej trzeciej części wciąż groziło niebezpieczeństwo, że zejdzie do tego samego stanu (Du Chatelier: L'agriculture en Bretagne, Paryż 1863, str. 178). Mieszkańcy jurajskiego miasteczka Lons-le-Saunier byli tak ubodzy, że gdy Konstytuanta ustanowiła cenzus wyborczy, to z 6518 mieszkańców tego miasteczka tylko 728 mogło brać czynny udział w wyborach (Sommier: Histoire de la Révolution dans le Jura, P. 1846, str. 33). Nic dziwnego, że w czasie rewolucji ludzi żyjących z jałmużny liczono na miliony. Tak na przykład pewna broszura klerykalna w roku 1791 powiada, że we Francji jest 6 mln żebraków (Avis aux pauvres sur la révolution présente et sur les biens du clergé, str. 15), co naturalnie jest trochę przesadzone, ale cyfra podawana za rok 1774 (1,2 mln żebraków) chyba nie jest niższa od rzeczywistej (Duval Cahiers de la Mache, P. 1873, str. 116)".

zań rozruchy te i bunty włościańskie były zwykle tłumione bez wielkiego zachodu. Ale wystarczyło, by w stolicy, na którą cały kraj przywykł zwracać swój wzrok, zaszedł wypadek, sygnalizujący, iż nastała chwila decydującej walki — a długo wstrzymywana złość i wściekłość wyrwała się na zewnątrz i ukryta wojna wewnętrzna zamieniła się w otwartą rewolucję. Wypadkiem tym było wzięcie Bastylii. Zdarzyło się to wtedy, gdy wzburzenie umysłów na skutek nieurodzaju, nadzwyczaj surowej zimy i wreszcie wyborów deputowanych do Stanów Generalnych przeszło w stan najwyższego napięcia [1]. Cały stary gmach państwa feudalnego runął od pierwszego naporu mas włościańskich. Razem z zamkami szlacheckimi upadł i system wyzysku feudalnego. Kiedy w pamiętną noc sierpniową w Zgromadzeniu Narodowym uprzywilejowani, porwani falą ogólnego zapału, wyrzekli się swoich przywilejów, to w rzeczy samej oddawali tylko to, czego już nie posiadali, chcąc w ten sposób przynajmniej ocalić to, co ocalić mieli jeszcze jaką taką nadzieję.

Naturalnie powstanie włościan nie ogarnęło całego kraju bez wyjątku.

Mówiąc przedtem o położeniu szlachty zaznaczyliśmy, że w niektórych odległych okręgach stosunki feudalne i odpowiadający im światopogląd katolicki, które gdzie indziej stały się już uciążliwymi, a nawet nieznośnymi pętami rozwoju, tutaj znajdowały jeszcze oparcie w panującej organizacji wytwórczości i dlatego były dalej pożyteczne. W tych okolicach każda gmina żyła jeszcze po dawnemu, sama wytwarzała dla siebie wszystko, czego potrzebowała. Ojczyzna dla włościanina kończyła się na tej drobnej przestrzeni, którą mógł ogarnąć wzrokiem ze

[1] W roku 1788 grad i susza bardzo zaszkodziły rolnictwu. W Paryżu pod koniec grudnia 1788 r. termometr wskazywał spadek temperatury do — 18°. Na jednym tylko przedmieściu St. Antoine było 30 tys. ludzi potrzebujących pomocy.

szczytu swej dzwonnicy wiejskiej. Wszystko, co leżało poza tym ciasnym widnokręgiem, było dla niego obczyzną, której nie znał, której nie potrzebował, z którą nie chciał mieć nic do czynienia i która tylko wtedy dawała mu się we znaki, gdy przeszkadzała jego pracy albo go łupiła. Utrzymywać stosunki z tą obczyzną, bronić go od napaści z jej strony — było obowiązkiem jego proboszcza i jego pana feudalnego. Aż tu nagle tej wrogiej mu obczyźnie — pod dowództwem znienawidzonego Paryża — zachciało się dyktować mu prawa i wprowadzać je w życie o wiele natarczywiej i energiczniej, niż to czyniła stara monarchia w takich zapadłych zakątkach. Przy tym nowe prawa o wiele silniej się sprzeciwiały jego obyczajom i jego sposobowi wytwórczości, niż prawa i rozporządzenia starej monarchii. Obalały one wszystko to, co przywykł czcić i cenić, nie liczyły się zupełnie z posiadaniem gminnym, z gospodarstwem rodzinnym i własnością rodzinną, na których opierał się cały jego system wytwórczości. Wreszcie ta znienawidzona obczyzna poważyła się na to, że z łona rodziny zaczęła wydzierać do służby wojskowej jej synów w niesłychanych dotychczas rozmiarach [1].

Nie trzeba było zbyt wielkich wysiłków ze strony szlachty i duchowieństwa, aby tych włościan — zwłaszcza w Wandei i w Calvados (w Normandii) — którzy tak przywykli słuchać ich we wszystkim, co dotyczyło stosunków ze światem zewnętrznym, popchnąć do otwartego powstania przeciwko paryskiemu Konwentowi.

Ale podstawowa masa włościan naturalnie nie poparła tego powstania; ich interesy były zbyt ściśle

---

1 W lutym 1793 r. Konwent wydał prawo wojskowe, na mocy którego do służby w wojsku obowiązani byli wszyscy nieżonaci Francuzi w wieku od lat 18 do 40; zresztą było dozwolone zastępstwo.

związane ze sprawą rewolucji. Przywrócenie starej monarchii znaczyło dla nich przywrócenie starego ucisku feudalnego, starej nędzy feudalnej. Groziło im nawet po części utratą majątków. Zgromadzenie Narodowe ogłosiło bowiem majątki kościelne za własność narodową i skonfiskowało majątki wychodźców. Wszystkie te ziemie następnie zostały rozprzedane. Wprawdzie środek ten w znacznej mierze posłużył do wzbogacenia różnych spekulantów, jednak dał włościanom możność dołączenia do swoich drobnych posiadłości nowych kawałków ziemi, których nabywanie raczej im ułatwiono. Majątki kościelne, a później i majątki wychodźców, zostały podzielone na drobne działy; przy ich sprzedaży żądano natychmiastowego uiszczenia tylko nieznacznej części całej sumy, a pozostałe raty rozkładano na długie terminy. Wielu chłopów, którzy przed rewolucją posiadali ziemię na prawach dzierżawy dziedzicznej, teraz przestali płacić czynsz dzierżawny i w większości wypadków zaczęli uważać ziemię tę za swoją własność.

Szlachta dworska dała przykład odwagi rycerskiej i uczuć wiernopoddańczych, rzucając swojego króla na pastwę losu i ratując się ucieczką, skoro tylko poczuła, że grunt jej się chwieje pod nogami. Niektórzy z nich, a w tej liczbie i brat królewski — hrabia Artois — uciekli zaraz po wzięciu Bastylii. Będąc bezdomnymi włóczęgami, knuli intrygi, aby pod osłoną armii austriackiej i pruskiej wtargnąć do Francji i znów ją zagarnąć w swoje ręce. Ich zwycięstwo oznaczałoby przywrócenie wyzysku feudalnego, przywrócenie majątków kościelnych i emigranckich dawnym posiadaczom. Kto wie, pod jakim uciskiem jęczał włościanin przed rewolucją, kto wie, z jakim fanatyzmem trzymał się on swojej ziemi, ten łatwo pojmie, że w takich warunkach, obok miejskich żywiołów

rewolucyjnych, powstawali również całą masą i chłopi, zaciągając się do armii pogranicznych, aby odeprzeć napadającego na kraj wspólnego nieprzyjaciela.

Ale skłaniał ich do powstania bynajmniej nie entuzjazm wywołany rządami Zgromadzenia Prawodawczego, a potem Konwentu i jakobinów paryskich, którzy panowali we Francji w pierwszych latach wojny, poczynając od roku 1792, i rozporządzali jej wojskiem. Włościanin nigdy nie był wielbicielem rządów przedstawicielskich, na które wywierał on wpływ raczej nieznaczny na skutek swojego odosobnienia i ubóstwa duchowego. A szczególnie mały był ten wpływ we Francji w okresie rewolucji, kiedy kraj budził się dopiero do życia politycznego i wychowanie polityczne ludności równało się zeru. Włościanie nie mogli wybierać deputowanych ze swej sfery, posyłali więc do Zgromadzenia Narodowego adwokatów, lekarzy, urzędników, tj. prawie wyłącznie elementy miejskie. Ludzie ci, przebywając w Paryżu, pozostawali pod wpływem „mas rewolucyjnych" tego miasta. Jeżeli interesy tychże mas wchodziły w konflikt z interesami włościan, ofiarą tego padały naturalnie interesy włościan, co znajdowało swoje odbicie w prawodawstwie i administracji. A konflikty były dość częste. Ażeby zaspokoić potrzeby drobnego mieszczaństwa i proletariatu paryskiego, różne zgromadzenia prawodawcze musiały ciężar ich utrzymania kłaść na barki burżuazji albo włościaństwa. Rozumie się, że tam, gdzie tylko było to możliwe, wybierano do tego celu włościaństwo. Poza tym interesy drobnego mieszczaństwa ścierały się z interesami włościan na rynku. Drobni mieszczanie naturalnie żądali taniego chleba, włościanie zaś chcieli jak najwięcej otrzymać za swoje produkty. Przeciwieństwa ich interesów szczególnie się zaostrzyły od momentu, gdy po upadku żyrondystów objęli władzę

w kraju jakobini. Chcąc położyć kres okropnej nędzy uchwalili oni ceny maksymalne na przedmioty pierwszej potrzeby i dokonywali rekwizycji zapasów żywności nie tylko dla armii, ale i dla Paryża. Chociaż środki te były głównie wymierzone przeciwko handlarzom i spekulantom, jednak ucierpiały na tym mocno również interesy włościan[1]. Ze wszystkich instytucji rewolucyjnych największą miłość włościan zdobyła sobie nowa, wolna od ograniczeń stanowych armia, w której każdy żołnierz nosił buławę marszałkowską w swoim tornistrze. Służba w wojsku, rekrutującym się przeważnie z synów chłopskich, otwierała przed nimi perspektywy świetnej kariery. Ale i dla tych, którzy pozostawali prostymi szeregowcami, armia oprócz swojego głównego celu — obrony niedawno zdobytej wolności i nowo nabytej ziemi przeciwko feudalizmowi, pragnącemu powrócić z pomocą Europy — była także środkiem bogacenia się poprzez łupy wojenne.

Okoliczność ta zasługuje na szczególną uwagę. Wojny rewolucyjne wywarły ogromny wpływ na stan ekonomiczny Anglii i Francji. Pozwoliły one Anglii objąć w posiadanie — po części tymczasowe, po części trwałe — kolonii nie tylko francuskich, ale i holenderskich, które w roku 1795 przeszły w ręce Francuzów, oraz kolonii Hiszpanii, która w roku 1796 była zmuszona zawrzeć z Francją przymierze. Wojny te

---

1 Jedną z głównych przyczyn wysokich cen zboża i wielkiej nędzy były nieustanne wojny zewnętrzne, które nie tylko wymagały wielkich zapasów na utrzymanie armii, ale także utrudniały jego przywóz z zagranicy. Może jeszcze większy wpływ ujemny miały wojny domowe wewnątrz samej Francji. A poza tym włościanie, których chciwi poborcy podatków i inni urzędnicy nie zmuszali już do sprzedawania za jaką bądź cenę znacznej części swoich zbiorów, przejawiali skłonność do przechowywania zapasów zboża; małorolni chłopi wstrzymywali się teraz od sprzedaży, ponieważ wyprodukowanego przez nich zboża zaledwie starczyło na własne utrzymanie, a zamożniejsi włościanie i dzierżawcy czynili to dlatego, aby doczekać się wyższych cen, które rzeczywiście szybko wzrastały wskutek tych wszystkich okoliczności.

dostarczyły Anglii również sposobności do łupienia floty i wybrzeży tych krajów.

Ale Francja wynagrodziła sobie to z nadwyżką w Belgii, Holandii, Włoszech, Egipcie, Szwajcarii, Niemczech itd. Nie tylko żołnierze grabili, ile dusza zapragnęła, to, co oni brali, było zaledwie drobnostką w zestawieniu z kolosalnymi sumami, które wyciskali ze zwyciężonych generałowie i komisarze rzeczypospolitej, zagarniając zrabowane pieniądze częściowo do własnej kieszeni, a częściowo do kasy państwowej, którą ze swej strony łupili znów chciwi dostawcy i różni „działacze państwowi". Po upadku jakobinów wojna stała się dla Francji „korzystnym przedsiębiorstwem", nawet najkorzystniejszym w owym czasie. Była potężnym środkiem akumulowania pieniędzy. Ściągano do Francji skarby nagromadzone przez feudałów w wyżej wymienionych krajach i spoczywające tam w postaci martwego kapitału w kościołach, klasztorach, skarbcach monarchów, oraz bogactwa dawnych republik kupieckich — jak Holandia, Wenecja, Genua — i oddawano je w służbę kapitalistycznemu sposobowi wytwórczości. Francja, która niedawno była bliska bankructwa, naraz zaczęła się bogacić, a wraz z nią bogacili się również ludzie, których stanowisko dawało możność łupienia państwa. Jak grzyby po deszczu wyrastały wielkie kapitały i poszukiwały dla siebie korzystnej lokaty. Jednocześnie wojny zwycięskie rozszerzały rynki zbytu dla przemysłu fancuskiego, a nowy sposób prowadzenia wojny również sprzyjał rozwojowi przemysłu. Stosunkowo niewielkie armie starej monarchii Francja porewolucyjna zastąpiła przez ogromne wojska, dopełniane masowym poborem rekrutów, dała więc przemysłowi nowe zadanie: szybkiego odziewania i uzbrajania wielkiej ilości ludzi. Było to potężną dźwignią, przyczyniającą się do

przekształcenia przemysłu kapitalistycznego — który dotychczas zajmował się głównie produkcją przedmiotów zbytku — w przemysł współczesny, wytwarzający artykuły pierwszej potrzeby dla mas.

A czynnikiem, który wywołał te wszystkie zmiany, który usunął niedobór w budżecie państwowym, zapewnił chłopom spokojne posiadanie ziemi, wzbogacił i wywyższył ich synów, dał finansistom, kupcom i przedsiębiorcom przemysłowym wielkie zyski, usunął brak zarobku — tym czynnikiem była armia. Trzeba wziąć w rachubę jej znaczenie w ekonomicznym rozwoju Francji, ażeby zrozumieć przyczyny tego wybitnego stanowiska politycznego, jakie udało się jej zająć.

Przypuszczenie, jakoby sława wojenna nagle zawróciła Francuzom głowy, jakoby maleńkie słówko „sława" od razu ich wszystkich pozbawiło równowagi umysłu, jakoby na tym upojeniu sławą polegała cała zaborcza polityka i kult Napoleona, takie przypuszczenie jest już nazbyt „idealistyczne".

Łatwo pojąć, że wobec takiej pozycji armii, zwycięski wódz musiał zdobyć znaczenie wybitnego czynnika politycznego w życiu państwowym Francji. Toteż władza jego stała się olbrzymią, skoro tylko udało mu się ująć ster rządów państwa w swoje ręce. Już rewolucja, opanowawszy potężny mechanizm biurokracji — odziedziczony po starej monarchii absolutnej, opierającej się głównie na nim — rozszerzyła go i wzmocniła we wszystkich kierunkach, zwiększając jego funkcje i środki, pozostawione do jego dyspozycji, oraz usuwając ostatnie resztki przywilejów prowincjonalnych i stanowych, które jeszcze ograniczały jego wszechpotęgę. Rewolucja również doprowadziła organy administracji państwowej do najwyższego stopnia centralizacji i karności, a zniósłszy

sprzedajne i oparte na przywilejach urzędy, których posiadacze nierzadko przejawiali w stosunku do dawnej władzy brak posłuszeństwa, wytworzyła zupełną i bezwarunkową uległość tych organów administracji względem centralnej władzy państwowej.

Tym sposobem środki, którymi rozporządzała władza państwowa, wzrosły do rozmiarów nieprawdopodobnych, ale nie wzrosła umiejętność burżuazji podporządkowywania sobie władzy za pomocą parlamentaryzmu.

Większa część burżuazji zdążyła się zmęczyć podczas rewolucji walką parlamentarną i marzyła o pokoju, o owym pokoju, którego szuka ptak drapieżny, aby bez przeszkody pożreć swą zdobycz. Niektóre koła burżuazji już z samego początku odnosiły się do rewolucji z pewną rezerwą i podejrzliwością, niekiedy nawet wprost wrogo; a okres terroru jeszcze bardziej ochłodził zapał w ich szeregach i dążenie do wolności. Również wielu ideologów straciło swoje poprzednie złudzenia. Zobaczywszy, iż rewolucja przyniosła z sobą nie wyzwolenie człowieka, lecz wyzwolenie kapitału, „zmądrzeli" i pokornie pogodzili się z faktem, że rząd parlamentarny, a wraz z nim i wolność, za którą przedtem walczyli, opanował generał wojskowy, przyrzekając w zamian za to podbić i opanować całą Europę na korzyść kapitalistów francuskich, uczynić ją ich lennikiem.

Poza tym w chwili, kiedy się rozpoczął zwycięski pochód armii francuskiej po całej Europie, nie istniała już ani jedna klasa, na której burżuazja mogłaby się oprzeć. A sama ona, bez sprzymierzeńców, nigdy nie potrafiła — nawet w chwili największego zapału rewolucyjnego — utrwalić swojego panowania politycznego.

Rząd parlamentarny udało się jej stworzyć we Francji wskutek buntu uprzywilejowanych przeciwko

monarchii. Sama burżuazja nigdy nie byłaby w stanie zatrzymać i zachować władzy wobec naporu dworu i jego sprzymierzeńców wewnątrz i z zewnątrz kraju, gdyby nie udzielili jej pomocy i silnego poparcia włościanie, drobne mieszczaństwo i proletariat. Ale włościanie, jak już mówiliśmy poprzednio, walczyli wyłącznie przeciwko absolutyzmowi f e u d a l n e m u, a nie przeciwko absolutyzmowi w ogóle: rządy przedstawicielskie mało ich pociągały. Szczególny natomiast zapał wywoływała u nich wolna od wszelkich ograniczeń i przywilejów stanowych armia, składająca się głównie z włościan. A kiedy zwycięski, wywyższony z nicości wódz stanął na czele tej armii i bez ceremonii załatwił się z parlamentem, by na jego miejscu postawić swoje nieograniczone panowanie, oni nie tylko nie powstali przeciwko niemu, lecz, przeciwnie, z radością powitali człowieka, który rządy adwokatów zastąpił cesarstwem włościańskim. Ci zaś ludzie, którzy założyli rzeczpospolitą i ocalili ją od napaści sił feudalnych — sankiuloci — byli już ostatecznie rozbici i powaleni. Zwycięstwa armii francuskiej pozbawiły ich siły, a burżuazja wyrzuciła ich poza nawias; musiała tak postąpić wychodząc ze stanowiska interesów swojej klasy, ale jednocześnie złamała i zniszczyła tę jedyną broń, którą można było jeszcze przeciwstawić nowym rządom szpady.

W każdym bądź razie stara monarchia została bezapelacyjnie obalona; cesarstwo nie oznaczało jeszcze powrotu wyzysku feudalnego, przeciwnie, było — podobnie jak terror jakobinów — dzieckiem i narzędziem rewolucji. Jakobini ocalili sprawę rewolucji we Francji, Napoleon zrewolucjonizował Europę.

X

EUROPA I REWOLUCJA FRANCUSKA

Zanim zakończymy swój wykład, rzućmy pobieżnie okiem na wzajemny stosunek żywiołów feudalnych — szlachty i monarchów — poza granicami Francji, stosunek, który wywarł pewien wpływ na przebieg rewolucji w samej Francji.

Jakkolwiek dziwne były zatargi między władzą królewską a szlachtą we Francji przed rewolucją, jest jednak rzeczą jeszcze dziwniejszą, że takie same zatargi mogły się zdarzać w każdej monarchii europejskiej nawet po wybuchu rewolucyjnym, że błahe i chwilowe interesy wywoływały walkę między tymi żywiołami, których istotne i wspólne interesy domagały się natarczywie jak najściślejszej spójni. Wskażemy tu na najważniejsze przykłady takiej walki.

Józef II Habsburg z wielką energią i niezłomnością przeprowadził w podległych sobie krajach cały szereg gruntownych reform w duchu „oświeconego absolutyzmu". Zniósł reprezentacyjne instytucje stanowe i uprzywilejowanych podporządkował na równi z „prostym ludem" władzy swojej biurokracji; w terminologii tego czasu nazywało się to przywróceniem „równości wszystkich wobec prawa", choć w rzeczy samej prawo zastąpiono tu prostą wolą monarchy. Szlachta utraciła swoją wolność od podatków i prawo nieograniczonego rozporządzania swoimi chłopami; duchowieństwo

utraciło mnóstwo klasztorów, arystokracja urzędnicza — powstała na gruncie sprzedaży urzędów i szczególnie silna w Belgii (należącej wówczas do Habsburgów) — utraciła swoje łapówki i dochody. W wyniku tego wśród uprzywilejowanych zapanowało silne wzburzenie, szemranie i opór, które w końcu na Węgrzech i w Belgii w r. 1789 przerodziły się w zbrojne powstanie, rozdmuchiwane wszelkimi siłami przez rząd pruski, zainteresowany w osłabieniu Austrii [1].

„Poseł pruski w Wiedniu, Jacobi, pozostawał w najściślejszych stosunkach z przywódcami opozycji i podburzał ich do każdego kroku, który mógłby doprowadzić do otwartego powstania przeciwko cesarzowi". Tak pisze p. T. Sybel (Geschichte der Revolutionszeit, V, 103), naturalnie, bynajmniej nie powodowany nieprzyjaźnią do rządu pruskiego.

Brak uległości ze strony szlachty węgierskiej jest zupełnie zrozumiały; była ona dostatecznie silna, aby móc obronić swoje interesy sama, poparcia monarchii nie potrzebowała. Nie rząd, lecz szlachta stłumiła powstanie chłopskie w roku 1784 i 1785. Ale inaczej rzecz się miała w Belgii. Tam szlachta feudalna było równie bezsilna, jej stanowisko równie zachwiane, jak w sąsiedniej Francji, a jednak przykład tej ostatniej niczego jej nie nauczył. Zaraz po wzięciu Bastylii i wypadkach z dnia 4 sierpnia bez namysłu, w przymierzu z żywiołami demokratycznymi podniosła sztandar powstania i ogłosiła Belgię rzeczpospolitą niezależną. Dnia 7 stycznia 1790 r. przedstawiciele stanów różnych prowincji belgijskich ogłosili utworzenie „Stanów Zjednoczonych Belgii, które, co prawda, ukonstytuowa-

---

[1] A był to już nie pierwszy wypadek, że rząd pruski korzystał z zamieszek na Węgrzech mając w tym własny interes. Jeszcze Fryderyk II pragnął zdobyć sobie „zaufanie" i „przywiązanie" tych „dobrych ludzi". (Adam Wolf: Oesterreich unter Maria Theresia, Joseph II und Leopold II. Berlin 1883, str. 299).

ły się nie według wzoru amerykańskiego, lecz według starego, feudalnego.

Ale zaledwie została zdobyta „wolność", a już wszczęły się zatargi między uprzywilejowanymi a przedstawicielami praw i interesów ludu, którzy chcieli brać przykład z Francji. Prusy także oszukały swoich sprzymierzeńców. Zamiast wypowiedzieć wojnę Austrii, co przez pewien czas wydawało się możliwe, zbliżyły się do monarchii habsburskiej i przygotowywały przymierze z nią na podstawie umowy reichenbachskiej (27 lipca 1790).

Ponieważ w tym czasie umarł Józef II, a jego następca Leopold II okazywał skłonność do dalszych ustępstw, zapoczątkowanych już przez Józefa, Węgry prędko się uspokoiły, odosobnione zaś i nie znajdujące nigdzie pomocy powstanie belgijskie zostało z łatwością stłumione (zimą 1791—1792).

Ale ten epizod rewolucyjny obudził lud belgijski. Pogrążyć go na nowo w poprzedniej drzemce było już rzeczą niemożliwą; w jego łonie przygotowywał się nowy ruch, prawdziwie rewolucyjny, i kiedy w roku 1792 weszli do Belgii Francuzi, kraj ten poddał im się bez oporu. Spokojna Belgia mogłaby z powodzeniem służyć za mocny punkt oparcia dla wszelkich operacji kontrrewolucyjnych, skierowanych przeciwko sprawie rewolucji, ale krótkowzroczna chciwość szlachty, duchowieństwa i arystokracji urzędniczej zamieniły ją w przednią straż rewolucyjnej Francji.

Jeszcze bardziej krnąbrna niż na Węgrzech i w Belgii była szlachta szwedzka; Gustaw III wprowadzając cały szereg reform państwowych pozbawił ją prawie wszystkich przywilejów, aż w końcu w roku 1789 posiadł faktycznie władzę nieograniczoną. Władzy tej jednakże i dochodów, jakie dostały mu się w ręce po poskromieniu szlachty, nie użył na polepszenie sytua-

cji gospodarczej kraju, lecz na swoje dziecinne zachcianki, które go kosztowały bardzo drogo. Bohater teatralny, łaknący efektów dramatycznych, cierpiący na śmieszną manię wielkości, chciał odgrywać rolę głównego obrońcy interesów monarchicznych w Europie, okazać się Herkulesem, duszącym hydrę rewolucji. Ogłosił więc wyprawę krzyżową przeciwko Francji. Zamyślał przedrzeć się ze swoją flotą w górę Sekwany aż do Paryża i zgasić tam ognisko rewolucji. W roku 1791 jedzie do Akwizgranu, aby tutaj z wychodźcami arystokracji francuskiej uknuć spisek mający na celu przywrócenie monarchii we Francji. A tymczasem przeciwko niemu samemu dojrzewał spisek w łonie szlachty szwedzkiej, która doszła do przekonania, że tylko po obaleniu króla będzie mogła przywrócić swoje dawne przywileje. Dnia 17 marca 1792 r. kula spiskowa Ankarströma powaliła tego przodownika kontrrewolucji, prawie o rok wcześniej, nim republikanie Francji skazali na śmierć, według praw wojennych, Ludwika XVI (21 stycznia 1793) za tajne konszachty w czasie wojny z wrogami ojczyzny. Tym sposobem w okresie rewolucji przykład królobójstwa dała sankiulotom szlachta. Ale ludzie stojący wówczas u steru rządów w różnych państwach okazali się jeszcze bardziej krótkowzrocznymi, jeszcze bardziej zaślepionymi nienasyconą chciwością niż sama szlachta. Ich ówczesne kroki podjęte przeciw rewolucji są bardzo jaskrawą ilustracją do utartego frazesu o masach reakcyjnych. Przypatrując się im uważniej, dostrzeżemy w tym masach najostrzejsze przeciwieństwa, najgłębsze konflikty i rozdwojenie. Wydaje nam się, że nie będzie rzeczą pozbawioną sensu, jeśli nieco naświetlimy tę stronę sprawy.

Początek rewolucji francuskiej zaskoczył Europę w przeddzień wojny powszechnej. Cesarzowej rosyj-

skiej, Katarzynie II, udało się nakłonić cesarza Józefa II do wspólnej wojny przeciwko Turcji w celu dokonania rozbioru tego państwa. Rosjanie zaczęli wojnę w roku 1787, a Austriacy w roku 1788. Prusy zaś nie mogły pozostać biernym widzem takich wypadków. Jeszcze za czasów Fryderyka II ich polityka dążyła do tego, aby nie dopuścić do jednostronnego powiększenia obszaru Austrii bez odpowiedniego rozszerzenia własnych granic. Jeżeli Austria chciała zagarnąć prowincje tureckie, powinna była wynagrodzić za to Prusy. Miała więc zwrócić Polsce Galicję, a Polska ze swej strony ustąpiłaby Prusom niektóre ze swoich posiadłości z miastami Toruniem i Gdańskiem. Rozumie się samo przez się, że Austria nigdy dobrowolnie nie byłaby się zgodziła na taką kombinację. Prusy więc przygotowywały się do wojny i szukały sobie sprzymierzeńców. Rzeczą najprostszą było zwrócić się w tym celu do państwa, od którego zamierzano odebrać jeszcze kawałek jego terytorium, to jest do Polski.

Pan v. Sybel, w którego dziele o epoce rewolucyjnej [1] najdokładniej, o ile nam wiadomo, został zanalizowany wpływ drugiego i trzeciego rozbioru Polski na rewolucję francuską (przy czym ta, co prawda, bardzo tendencyjna analiza opiera się po części na mało dostępnych materiałach archiwalnych), widzi w katastrofie, która spotkała Polskę, rezultat „głębokiego upadku obyczajów" (t. II, str. 167) i maluje wstrząsający obraz zepsucia arystokracji polskiej, nielitościwie ciemiężącej i wyzyskującej masy ludowe. Nie dziwi nas wcale, że pan v. Sybel bierze na siebie rolę naczelnego sędziego, wydającego na różne wypadki historyczne wyroki potępiające albo uniewinniające ze stanowiska „wiecznej", mającej trwałą war-

1 Sybel: Geschichte der Revolutionszeit, Düsseldorf, 1877.

tość dla wszystkich czasów i narodów, moralności pruskiego profesora; taki to już zwyczaj historyków. Ale na „wieczną sprawiedliwość" ich najwyższego sądu rzuca, naszym zdaniem, bardzo niekorzystny cień ta okoliczność, że pan Sybel wykazuje „rezultaty głębokiego upadku moralnego" samej tylko polskiej arystokracji, nie dekretując jednak podziału Prus, Austrii i innych państw na kontynencie. Byłoby to przecież zupełnie „sprawiedliwe", bo szlachta wszędzie ujawniała prawie jednakowe przymioty moralne, wyjątek stanowił może tylko zwyczaj używania chustek do nosa, których brak, zdaniem pana v. Sybel, stanowi także jedną z cech „upadku" (t. II, str. 173).

Jedyna różnica między Polską a sąsiednimi państwami polegała na tym, że w niej nie rozwinęły się te czynniki, które gdzie indziej stanowiły przeciwwagę szlachty, a mianowicie: silna, scentralizowana władza państwowa i potężne mieszczaństwo. Tym sposobem rozwój ekonomiczny i polityczny, który naturalnie dotarł i do Polski, wyraził się tam jedynie zburzeniem i upadkiem feudalizmu, na którego miejscu nie powstały organy nowego sposobu wytwórczości i odpowiadające mu formy państwowe. Taki stan rzeczy Polska zawdzięczała swoim potężnym sąsiadom — szczególnie Rosji — którzy systematycznie słowem i czynem popierali w tym kraju żywioły rozkładu, a gdy zachodziła potrzeba, siłą oręża tłumili w samym zarodku wszelką próbę reform ekonomicznych i politycznych. Polska przestała istnieć jako państwo samodzielne jeszcze przedtem, zanim zniknęła z politycznej karty Europy. Tylko rywalizacja i zatargi wielkich mocarstw europejskich odraczały godzinę jej ostatecznego upadku.

Już w roku 1772 Prusy, Rosja i Austria za wzajemną zgodą podzieliły między siebie wielką część

Polski. Pozostałej zaś części, która na razie zachowała jeszcze swoją „samodzielność", mocarstwa te, tworzące później Święte Przymierze, narzuciły w roku 1775 „republikańską" formę rządu, wykluczającą możność jakiegokolwiek normalnego życia państwowego i zaprowadzającą anarchię jako zasadę. Odtąd wszystkimi wewnętrznymi sprawami Polski faktycznie kierowała Rosja. Ale kiedy wojska cesarzowej Katarzyny II były zajęte operacjami wojennymi w Turcji, patrioci polscy doszli do wniosku, że nastał czas zrzucenia z siebie jarzma Rosji. Zabrali się więc do zreformowania konstytucji, aby choć w części usunąć anarchię feudalną. Prusy, chcąc zaszkodzić swojej rywalce Austrii, podburzyły Polaków do czynów energicznych i popierały ich pretensje w związku z Galicją, nie mówiąc jednak nic o swoich zamiarach dotyczących Torunia i Gdańska. Zawarły one nawet w końcu formalne przymierze z Polską (29 marca 1790 r.), w myśl którego obydwie strony miały sobie nawzajem pomagać w razie napaści nieprzyjaciół zewnętrznych. Jednocześnie Prusy, jak wiemy, weszły w porozumienie z buntownikami na Węgrzech i w Belgii.

W przymierzu z Prusami była Anglia, ponieważ już wówczas widziała w Rosji mocarstwo, którego wzrost zagrażał jej interesom na wybrzeżu Morza Bałtyckiego i na wschodzie. Jedyną więc siłą, która mogłaby jeszcze wystąpić do walki z Prusami, była monarchia francuska, związana z dynastią austriacką węzłami pokrewieństwa. Toteż wielka była radość dworu pruskiego, gdy rewolucja pozbawiła tę siłę zdolności do walki.

Dwór pruski tak mało rozumiał sens i znaczenie dokonywających się wypadków, tak był zaślepiony dążeniem do rozszerzenia swoich posiadłości, że osłabienie władzy królewskiej we Francji powitał jako

zjawisko pożądane, ponieważ znikała ostatnia przeszkoda do urzeczywistnienia jego planów zaborczych[1]. Rząd pruski nie tylko ucieszył się z powodu rewolucji, lecz zawarł nawet z nią przymierze. Poseł pruski w Paryżu, hr. Goltz, utrzymywał jak najściślejsze stosunki ze stronnictwem demokratycznym Zgromadzenia Narodowego. Deputowany skrajnej lewicy, Pétion, po wygłoszeniu pewnej mowy w duchu demokratycznym otrzymał nawet powinszowanie od króla pruskiego, który z całego serca pragnął, ażeby prawo wypowiadania wojny i zawierania pokoju zostało odjęte królowi, naturalnie, tylko we Francji, gdyż to mogło zabezpieczyć go od ewentualnej agresji ze strony Francji. Nie chcąc zbyt kompromitować Goltza, odkomenderował do Paryża dla wykonywania bardziej drażliwych poleceń Żyda Efraima (wrzesień 1790 r.), tego samego, który działał już w interesach Prus w Belgii w okresie powstania.

Ogólna sytuacja polityczna w roku 1790 była dla Prus nadzwyczaj pomyślna: we Francji władza królewska nie mogła prowadzić wojny ze względów dyplomatycznych; w Belgii dużym powodzeniem cieszyło się powstanie; wrzenie na Węgrzech również przyjmowało formę powstania; Polska i Szwecja broniły tyłów Prus od Rosji, która razem z Austrią była całkowicie pochłonięta walką z Turcją, stawiającą zupełnie nieoczekiwany opór. W tym stanie rzeczy Austria, oczywiście, nie zdołałaby stawić czoła Prusom, więc Fryderyk Wilhelm II, który nadto zawarł przy-

[1] „Nietrudno sobie wyobrazić, z jaką serdeczną radością powitał on (pruski minister Herzberg) wiadomość o rozpoczynającej się anarchii rewolucyjnej we Francji. Z sercem przepełnionym radością doniósł królowi 3 lipca: we Francji władza królewska jest zachwiana, wojska odmawiają posłuszeństwa. Ludwik oświadczył narodowi, że uważa posiedzenie królewskie za nie istniejące; to przypomina niemal wypadek z Karolem I. Oto okoliczności, z których dobre rządy powinny skorzystać". (Sybel: Geschichte der Revolutionszeit, I, str. 161).

mierze z bogatą Anglią, dokładał wszelkich starań, aby wyzwać ją do boju.

Ale właśnie w tym czasie umarł w Austrii energiczny i żądny władzy Józef, a tron po nim objął (20 lutego 1790) ostrożny Leopold, lubiący postępować z rozwagą i wyrachowaniem. Swoją skłonnością do ustępstw rozbroił on wszystkich nieprzyjaciół Austrii; uspokoił Węgrów, zasiał niezgodę pomiędzy powstańcami belgijskimi i zakończył wojnę z Turcją. Z Prusami zaś zawarł umowę reichenbachską (27 lipca 1790 r.), zgadzając się na wszystkie ich żądania, czym usunął wszelki powód do wojny.

Tymczasem rewolucja we Francji przybrała takie rozmiary i tak wyraźnie przejawiała swoje wrogie dla monarchii absolutnej tendencje, że to musiało wreszcie zaniepokoić nawet najbardziej ograniczonych działaczy państwowych monarchii europejskich. Istotnie, niebezpieczeństwo, że tendencje rewolucyjne, skoro wezmą górę we Francji, ogarną także i sąsiednie kraje — Niemcy, Belgię, Piemont — było aż nadto widoczne. Stawało się rzeczą coraz to jaśniejszą, że zadaniem wszystkich monarchii europejskich powinno być wyplenienie tych tendencji rewolucyjnych albo przynajmniej niedopuszczenie do ich rozprzestrzenienia się. Różne więc monarchie zaczęły otwarcie wypowiadać to przekonanie. Znalazło ono swój wyraz w mantuańskiej proklamacji Leopolda, następnie w wydanej przez niego w Padwie nocie ogólnej i wreszcie w nadzwyczaj groźnym manifeście przeciwko Francji, wydanym przez Austrię i Prusy, które zawarły formalną umowę w Pillnitz (27 sierpnia 1791 roku). Cesarz nie przeszkadzał przygotowaniom wojennym wychodźców, którzy nad samą granicą francuską zebrali prawdziwą armię w celu zaatakowania jej. We Francji absolutnie nikt nie miał wątpliwości,

że Prusy i Austria przygotowują wojnę przeciwko rewolucji, w rzeczywistości jednak sprzymierzeńcy nie podjęli żadnego takiego kroku, który by te podejrzenia potwierdzał. Pan v. Sybel, rozpatrzywszy szczegółowo ówczesne stosunki między mocarstwami europejskimi, doszedł do wniosku, że wszystkie rządy monarchiczne były natchnione najgłębszą miłością pokoju i że wojnę wywołała Francja; naszym jednak zdaniem zupełnie nie zgadza się to z faktami. Prawda, że we Francji zarówno żyrondyści, jak dwór wraz ze swoimi zwolennikami obstawali przy wojnie; dwór mianowicie dlatego, że się spodziewał, iż Prusy i Austria wejdą do Francji i przywrócą starą monarchię, a żyrondyści dlatego, że pojmowali, iż wojna jest nieunikniona, woleli więc uderzyć na wroga przedtem, zanim zdoła się ostatecznie do niej przygotować. Strona zaś przeciwna wciąż odkładała wypowiedzenie wojny, bynajmniej jednak nie z miłości do pokoju, lecz po prostu dlatego, że zainteresowane mocarstwa wzajemnie sobie nie dowierzały. Rosja starała się jak najprędzej zakończyć wojnę turecką, którą teraz, po pogodzeniu się Austriaków z Turkami, wiodła sama. Chciała po prostu mieć rozwiązane ręce, by móc zwrócić swoją armię przeciwko Polsce, która śmiała dążyć do samodzielności. Prusy zrozumiały, że zbliża się rychłe rozwiązanie kwestii polskiej; nie porzuciły one bynajmniej dawnych planów poszerzenia swych posiadłości i spodziewały się teraz w przymierzu z Rosją przeciw Polsce otrzymać to, co wpierw zamyślały otrzymać w przymierzu z Polską przeciw Rosji. Zarówno dla Rosji, jak dla Prus Austria w tych warunkach była bardzo niewygodną sąsiadką: oba te państwa próbowały więc zaplątać Leopolda w walkę z Francją, aby mieć możność rozporządzania się w Polsce bez żadnego skrępowania. Ale Leopold doskonale

wiedział, skąd wiatr wieje, i wietrząc zdobycz, odkładał wojnę z Francją aż do rozwiązania kwestii polskiej.

Łatwiej niż z Leopoldem poszła sprawa z jego następcą, cesarzem Franciszkiem II, który objął tron austriacki dnia 1 marca 1792 r. Był to jeszcze młody, nic nie znaczący człowiek, ulegający wpływom. Rząd jego przez swoje śmieszne żądania przywrócenia starego reżymu we Francji i zuchwałe groźby zmusił ją do wypowiedzenia wojny (20 kwietnia 1792 r). Trzeba więc było przyjąć wyzwanie, nie czekając podziału polskiego łupu. Prusy również nie mogły dłużej uchylać się od wojny, którą przecież miało toczyć cesarstwo niemieckie i sprzymierzeńcy pillniccy. Ale pierwsze kroki tych sprzymierzeńców nie świadczą o ich stanowczości — wyraźnie nie docenili oni sił nieprzyjaciela. Opierając się na opowiadaniach wychodźców i doniesieniach szpiegów policyjnych, mniemali, że cała Francja jest wierna i oddana królowi i z niecierpliwością tylko wyczekuje pomocy, by zrzucić „jarzmo" terrorystów. Podobne mniemanie zresztą jeszcze i dziś tuła się po głowach i pismach różnych mądrych historyków. Jak bardzo nieuzasadniona była ta ocena, armia pruska wnet się przekonała z przykrego doświadczenia. Sprzymierzeńcy między innymi, liczyli także na tajemniczą pomoc Ludwika XVI, spodziewali się, że będzie on paraliżować operacje wojenne armii francuskiej. Ale nadzieje te zostały całkowicie rozwiane z chwilą wzięcia pałacu w Tuileries (w dniu 10 sierpnia). Jedną z najważniejszych przyczyn powstrzymujących przygotowania wojenne Austrii i Prus było to, że „sprzymierzeńcy" wciąż jeszcze nie mogli się zgodzić w sprawie podziału Polski. Trwało to dotąd, dopóki wojska Katarzyny II nie wkroczyły do Polski i dopóki Prusy, odgrywające aż

do maja 1792 r. rolę sprzymierzeńca Polski, nie zrzuciły na koniec maski i nie zażądały w imię „przywrócenia porządku i spokoju" nowego rozbioru tego kraju. Kiedy wojska rosyjskie biły Polaków, oszukanych przez swojego sprzymierzeńca, Prusy i Austria, mając tam skoncentrowaną całą swoją uwagę, prowadziły działania wojenne we Francji bardzo niedbale. Nic więc dziwnego, że wyprawa ta skończyła się wręcz opłakanie dla sprzymierzeńców.

W następnym roku jednak położenie Francji stało się bardziej niebezpieczne. Austria zbroiła się energicznie, aby powetować swoje niepowodzenia. Wraz z innymi państwami utworzyła ona koalicję przeciwko rzeczypospolitej: przystąpiły do niej Anglia i Holandia — które przeraziło zajęcie Belgii przez Francję — a pod ich wpływem Sardynia, Portugalia, Hiszpania i Neapol. W samej Francji cały szereg miasteczek i wielkich miast przyłączyło się do kontrrewolucji. Stara armia faktycznie już nie istniała, a nowej, rewolucyjnej, jeszcze nie zorganizowano. Starzy oficerowie, należący do arystokracji, zostali usunięci albo sami uciekli, a nowych nie zdążono jeszcze w dostatecznej ilości wychować. Poza tym część starych wojsk liniowych wyginęła w zeszłorocznej wyprawie, toteż większość armii składała się z rekrutów. Na dobitkę generałowie często zdradzali albo w ogóle byli niepewni. Gdyby terror żelazną ręką nie wytężył wszystkich sił Francji i nie wystawił wszędzie przeciw nieprzyjacielowi masy żołnierzy, których zapał wynagradzał brak dyscypliny i sprawności wojennej, młoda rzeczpospolita może nie byłaby wytrzymała tego naporu całej Europy. Chociaż pomimo wszystkich tych wysiłków, pomimo wytężenia wszystkich sił, położenie Francji było rozpaczliwe.

Ale szczęściem dla rzeczypospolitej chciwość jej

przeciwników była nie mniej wielka, jak ich nienawiść do rewolucji. Każdy ze sprzymierzeńców chciał dla siebie wyciągnąć jak najwięcej korzyści z wyprawy wojennej. Przy tym jeden drugiemu nie dowierzał i starał się postępować samodzielnie. Zamiast wymierzyć nieprzyjacielowi stanowczy cios, każdy spieszył się, by zagarnąć tę część zdobyczy, którą sobie upatrzył.

Sardynia żądała posiłków od Austrii; Austria zgadzała się posłać je tylko pod tym warunkiem, że Sardynia zobowiąże się ustąpić jej Nawarrę w razie rozszerzenia swoich granic kosztem Francji. Żądanie to wywołało w Sardynii wielkie niezadowolenie; cenny czas mijał, zbuntowany Lugdun nie był w porę uwolniony od oblężenia i napad na Francję ze strony Włoch nie udał się.

Wojska angielskie znów nie miały nic pilniejszego do roboty, jak zająć się wyłącznie oblężeniem Dunkierki, ważnego portu nadmorskiego, na który Anglia bardzo miała apetyt; Holendrom wojna szybko się sprzykrzyła, ponieważ nie znajdowali sposobności pożywienia się czymkolwiek. Ale złowrogą dla całej sprawy sprzymierzeńców okazała się wzrastająca wciąż nieprzyjaźń między Austrią a Prusami.

W zimie roku 1792—1793 Rosja i Prusy weszły z sobą w porozumienie i doprowadziły do drugiego rozbioru Polski. Austria jako rekompensatę otrzymała nadzieję przyłączenia części terytorium francuskiego. Prusy zagroziły natychmiastowym przerwaniem działań wojennych przeciw Francji i wystąpieniem z koalicji, gdyby Anglia i Austria nie uznały dokonanego rozbioru Polski. Łatwo pojąć, że taki sposób postępowania nie mógł się przyczynić do wzmocnienia uczuć przyjaznych ze strony tych dwóch państw, a szczególnie Austrii. Teraz wszystkie

operacje wojenne armii austriackiej przeciwko Francuzom miały na celu tylko zajęcie tej części terytorium francuskiego, którą Austria zamierzała wcielić do swej monarchii, mianowicie Alzacji i części Francji północnej. Prusy zaś, jeszcze w dalszym ciągu zajęte w Polsce, nie okazywały najmniejszej chęci brania czynnego udziału w przedsięwzięciu, które z wojny przeciwko rewolucji zamieniło się na wojnę zaborczą, mającą na celu interesy Austrii. Wojsko pruskie zmarnowało wiele czasu na obleganie Moguncji, a potem prawie zupełnie bezczynnie przypatrywało się walce Francuzów i Austriaków w Alzacji [1]. Kiedy zaś doszło do pewnego zbliżenia między Austrią i Rosją, Prusy obawiając się, że zostaną oszukane przez swych „sprzymierzeńców", przerwały we wrześniu 1793 r. prawie zupełnie działania wojenne na terytorium Francji i przeniosły większą część swoich wojsk znad Renu nad granicę polską, ażeby tam odpowiednio zabezpieczyć swoją część łupu.

Jeszcze gorzej przedstawiały się sprawy koalicji w roku 1794. Między Anglią i Hiszpanią wynikł zatarg, a w Polsce na wiosnę wybuchło powstanie, które przyjęło tak ogromne rozmiary, że Rosja nie potrafiła sobie z nim dać rady, więc na pomoc musiały jej pospieszyć Prusy. Teraz Prusy nie mogły nawet myśleć o tym, żeby brać udział w wojnie francuskiej, również Austria nie była w stanie poświęcić jej wszystkich swoich sił. Zbliżała się bowiem ostatnia godzina Polski, więc Austria musiała tam wystawić znaczną armię, ażeby nie zostać pominiętą, przy trzecim rozbiorze Polski, jak to miało miejsce przy drugim. Gdyby Anglia nie wytężyła wszystkich swoich

[1] „Oni (Prusacy) w ogóle nie chcieli całkowitego zwycięstwa, lecz mieli teraz tylko jeden cel: utrzymywać równowagę między znienawidzonym sprzymierzeńcem (Austrią) a dogodnym nieprzyjacielem (Francją)". (Sybel: Geschichte der Revolutionszeit, II, str. 258).

sił w celu zachowania koalicji, ta byłaby się już wtedy rozpadła.

Tymczasem młoda armia rewolucyjna Francji poważnie się wzmocniła. Stworzyła ona nową oryginalną taktykę, dającą jej ogromną przewagę nad starymi armiami, i wyłoniła z nowego korpusu oficerskiego takich generałów, jak Hoche, Kleber, Moreau, Bonaparte i in., którzy później stali się postrachem całej feudalnej Europy. Kłócąc się o podział nie zdobytego jeszcze łupu, monarchie feudalne dały czas armii rewolucyjnej do osiągnięcia olbrzymiej siły. Teraz, gdyby sprzymierzonym sprzyjało największe nawet szczęście wojenne, zduszenie rewolucji i chociażby chwilowe przywrócenie starego porządku — takiego, jaki panował do roku 1789 — stało się już rzeczą zupełnie niemożliwą. Poczynając od roku 1794 rzeczpospolita francuska była już w stanie przejść od obrony do ataku. Fakt ten przyczynił się do zachwiania stosunków feudalnych — w samych ich podstawach — na obszarze całej Europy, w krajach zaś graniczących z Francją zupełnie je obalił. A wszystko to w znacznej mierze było rezultatem owej małostkowej, ograniczonej chciwości jej przeciwników, którą próbowaliśmy scharakteryzować.

Wrogowie rewolucji lubią dziś wskazywać na tę okoliczność, aby pomniejszyć jej „sławę". Nie własną swoją siłą zwyciężyła ona — wykrzykują z triumfem — lecz skorzystała tylko z dyplomatycznych pomyłek swoich przeciwników.

Prawda, nie zwiększa to sławy rewolucji, ale też i nie dodaje blasku jej przeciwnikom. Tak nam się wydaje.

Pozostawiając na uboczu kwestię „sławy", musimy przyznać, że nie sama tylko siła żywiołów rewolucyjnych doprowadziła je do zwycięstwa, przyczyniły się

do niego również pomyłki ich wrogów. Nie zgadzamy się jednak z twierdzeniem, że pomyłki te były przypadkowe, że rewolucja swoje zwycięstwo zawdzięczała przypadkowi.

Niesnaski między dworami różnych państw, podobnie jak i niesnaski między szlachtą a opierającą się na biurokracji władzą królewską, które tak bardzo dopomogły sprawie rewolucji, miały swoje korzenie tkwiące głęboko w stosunkach społecznych tej epoki. Niesnaski te nie są zdarzeniami odosobnionymi, przypadkowymi, lecz stanowią one zjawiska typowe, które wciąż się powtarzają w dziejach narodów, odkąd istnieją w ogóle przeciwieństwa klasowe, zmieniają tylko swoją formę zewnętrzną.

Można by sądzić, że poważne niebezpieczeństwo powinno było skłonić siły feudalne do zapomnienia o wszelkich niesnaskach i uznania wspólnoty swoich interesów, że niebezpieczeństwo powinno było ich skłonić do poniesienia chwilowych ofiar dla istotnych i trwałych korzyści późniejszych. Ale jakkolwiek nam wyjście to wydaje się naturalne, stany uprzywilejowane nie mogły się na nie zdobyć, brakowało im do tego koniecznych przesłanek historycznych. Ten sam bieg procesu historycznego, który doprowadził do rewolucji, pozbawił również klasy uprzywilejowane przymiotów moralnych i intelektualnych, nieodzownych do energicznego i zgodnego wystąpienia przeciw rewolucji. Utraciwszy swoje dawne funkcje społeczne, żywioły feudalne nie tylko stały się teraz zbyteczne i szkodliwe, lecz zatraciły także i te zalety moralne, które człowiek zdobywa wytrwałą pracą. Marząc jedynie o rozkoszach, leniwi i zniewieściali, oduczyli się walczyć i ponosić ofiary dla osiągnięcia swoich celów. Przy tym w parze z upadkiem moralnym szedł upadek intelektualny. Studiowanie stosunków społecznych do-

starcza nam aż nazbyt wiele dowodów wykazujących zupełną nieużyteczność, a nawet szkodliwość żywiołów feudalnych. Interesy klasowe feudałów coraz to bardziej skłaniały ich nie tylko do przeszkadzania ze wszystkich sił temu, by lud wiedział o nich całą prawdę, lecz zmuszały ich samych do zamykania oczu na rzeczywistość, do ciągłego oszukiwania siebie i karmienia się złudzeniami. Właśnie nadejście rewolucji wywołało w nich nawrót do ideałów i wyobrażeń z tej epoki, w której byli oni jeszcze koniecznymi i pożytecznymi członkami społeczeństwa. Wprawdzie wyobrażenia te były teraz dla nich samych już niezrozumiałe, toteż podawano je w formie „idealnej". Wyraziciele feudalizmu w literaturze zwrócili się do mistycyzmu, do spirytyzmu, do „romantyzmu". Próbowali wlać życie w stare formy myślenia, które w swoim czasie mogły mieć pewne znaczenie, lecz teraz były całkowicie sprzeczne z duchem epoki i wymaganiami czasu. Straciwszy wszelką rozumną treść, mogły one prowadzić tylko do bałamucenia ludzi.

Zanim jeszcze panujące klasy społeczeństwa feudalnego zbankrutowały politycznie i ekonomicznie, były już bankrutami pod względem moralnym i intelektualnym. Niezdolne do najmniejszej, chociażby chwilowej ofiary, niezdolne do żadnego mocnego postanowienia, niezdolne nawet pojmować swego własnego położenia, nie posiadały ani jednego z tych przymiotów, które były konieczne, aby ich skupić w jedną prawdziwie „reakcyjną masę".

Rozdwojenia, tępego ograniczenia żywiołów feudalnych bynajmniej nie należy uważać za przypadek, było to równie nieuniknione, jak walka klasowa rozwijająca się w łonie stanu trzeciego. Obydwie te okoliczności stały się czynnikami, które wywarły wielki wpływ na sprawę rewolucji.

Widzimy więc, że rozwój społeczny jest rezultatem nie tylko walki między klasami młodymi, nowo powstającymi i klasami starymi, które się przeżyły — między tymi, którzy są zainteresowani w zachowaniu istniejących stosunków, a tymi, dla których stosunki te stają się coraz to bardziej nie do zniesienia — lecz również rezultatem walki w łonie każdej z tych grup. Wszystkie wymienione tutaj formy walki, bez względu na to, jakie w każdym pojedynczym wypadku były zamiary walczących, ostatecznie pomagały sprawie rewolucji. Jakby to się nie wydawało dziwne, faktem jest, że nie tylko niesnaski w łonie warstwy panującej, lecz i niesnaski w warstwie podwładnej były potężną dźwignią rewolucji. Nie zdarzyło się jeszcze, by przeciwieństwa interesów klasowych kapitalistów i drobnego mieszczaństwa miasta i wsi choćby raz wpłynęły hamująco na sprawę rewolucji; przeciwnie, były one bodźcem, wzmagały energię, którą okazywano w rewolucji, i stawiały masom ludności, usposobionej rewolucyjnie, coraz to szersze zadania. Pchały je one wciąż naprzód i naprzód.

A przeciwieństwa interesów klasowych klas panujących, odwrotnie, prowadziły tylko do osłabienia ich energii, do tego, że klasy te coraz to bardziej zawężały swoje zadania i zamiast stanowczo i śmiało wystąpić w zwartych szeregach do walki z rewolucją, usiłowały z przewrotu wyciągnąć jedynie chwilowe korzyści. Zamiast zająć się gaszeniem pożaru w swoim domu, ograbiały one — korzystając z ogólnego zamieszania — swoich sąsiadów, dopóki zapadający się z trzaskiem gmach nie pogrzebał ich razem z łupem pod swoimi gruzami.

BIBLIOTEKA MIEJSKA

SPIS RZECZY

str.

I. Wstęp 5
II. Monarchia nieograniczona 10
III. Szlachta i duchowieństwo 18
IV. Arystokracja urzędnicza 35
V. Burzenie się uprzywilejowanych . . 41
VI. Burżuazja 47
VII. Inteligencja 57
VIII. Sankiuloci 63
IX. Włościanie 79
X. Europa i rewolucja francuska . . . 97

Okładkę projektował Stanisław Żakowski

*

Redaktor H. Suszko
Redaktor techn. S. Szczerek
Korektor M. Orłowska

*

„Książka i Wiedza", Warszawa, wrzesień 1958 r. Wyd. I. Nakł. 2000 + 165 egz. Obj. ark. wyd. 5,2. Obj. ark. druk. 7,25 (5,9). Papier druk. mat. kl. III, 70 g, 82 × 104 cm z Fabryki Papieru w Kluczach. Oddano do składu 30. V. 1958 r. Podpisano do druku 23. VIII. 1958 r. Druk ukończono we wrześniu 1958 r. Zakł. Graf. RSW „Prasa" w Łodzi, ul. Żwirki 17. Zam. nr 1831. M-32

Cena zł 6.—

22157 KPiP
1122157